POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 9-go czerwca 1945r.* **Rok VII. Nr. 23**

SPRAWA POLSKA W NIEMCZECH

Zagadnienie Polaków w Niemczech jest dziś najważniejszym zadaniem stojącym przed nami na obczyźnie. Pierwsze zetknięcie z tymi masami przyniosło nam szczegółowe, choć sporadyczne opisy. Wiemy wszyscy, jakie są potrzeby, ale niewielu wyobraża sobie, jak rzeczywiście są one palące. Bo wielu ludzi nie przeszło przez nędzę i głód masowych obozów.

Chwilowo głównym zadaniem jest zaopatrzenie tych tysięcy w żywność, ubrania, lekarstwa. Danie dachu nad głowę, wody do picia, mycia i prania sienników, łóżek, koców, stawiają przed polskimi oficerami łącznikowymi, kierującymi obozami, niesłychanie nieraz wielkie trudności.

Ta pierwsza faza materialnego zaopatrzenia zależna jest od warunków miejscowych. Od magazynów i zasobów regionalnych, od dostarczenia środków przewozowych przez władze alianckie — i przede wszystkim od polskich oficerów łącznikowych i ich praw. Nazywają się oni oficerami łącznikowymi, gdyż ich rolą ma być pośrednictwo między dowódcą z ramienia alianckiego oddziału *"Military Government"* a obozem, gospodarującym się samodzielnie. To znaczy, że ich rola jest ograniczona potrójnie: zależnością od angielskiego lub amerykańskiego dowódcy obozu, do którego zasadniczo należą wszystkie decyzje; znajomością terenu i jego zasobów; umiejętnością użycia ludzi z obozu, zorganizowania tak obozu jak i jego zaopatrzenia.

Wszystkie te trudności może pokonać jedynie inicjatywa i inteligencja oficera łącznikowego. I to jest powodem wielkich różnic między obozami. Zupełna zależność od alianckiego komendanta i brak inicjatywy powoduje ograniczenie się do suchych przepisów i zachowanie jedynie ich martwej litery. Tak n.p. są obozy bez mleka dla setek dzieci, choć wkoło pełno krów, bez wody do picia i mycia w pobliżu rzeki, bez niczego wreszcie. Takich obozów jest niestety wiele, gdzieindziej znów są zorganizowane miasta polskie, we wszystko zaopatrzone.

Dlatego należało by czym prędzej wysłać komisję inspekcyjną z prawem zastąpienia nieodpowiednich oficerów łącznikowych. Jest to bardzo ważne: oficerowie ci byli werbowani w ostatniej chwili po bardzo pobieżnym sprawdzeniu ich kwalifikacji. Dobrzy organizatorzy, ludzie młodzi i doświadczeni, konieczni w wojsku, nie byli chętnie wypuszczani z oddziałów. Obecnie konieczność zapchania dziur minęła i należało by czym prędzej uzupełnić braki, szkolić tych oficerów łącznikowych w pokazowych obozach, stwarzać normy ogólne ich działalności.

Pierwsza faza zgromadzenia mas Polaków ma się ku końcowi. Jest to dla nich czasem okres najboleśniejszy, tym niemniej, miejmy nadzieję, w większości wypadków względnie krótkotrwały.

Okres ten był okresem dorywczego działania. Obecnie należy przejść do rozpoznania i zaspokojenia ważniejszych może jeszcze potrzeb. Ważniejszych na długą metę.

Społeczeństwo buduje naród i państwo. Obywatele przygotowani zawodowo i politycznie, związani zobowiązaniami prawnymi, obyczajowymi i moralnymi, mówiący wspólnym językiem, powodowani wspólnymi uczuciami, współtworzą wspólną kulturę i podlegają jej działaniu. Wiemy, że wszystkie te przejawy i więzy były szczególnie tępione przez Niemcy. W kraju społeczeństwo broniło się jak mogło. Pomagało poczucie, że wszyscy są na swojej ziemi i ze swoimi, ramię przy ramieniu. Pomagała wrodzona zachowawczość lub wstyd przed ludźmi, wśród których się wzrosło i żyło, ambicja i dążność pokazania się, wreszcie ramy społeczne i rodzinne, w których nadal tkwili Polacy w kraju. Dochodził do tego urok oporu, łamania narzucanych niesprawiedliwych praw i przepisów, robienie "na złość" okupantom.

Cała masa czynników składała się na postawę Kraju, czynników, które nie mogły działać po wywiezieniu z niego. Rozejrzyjmy się w warunkach życia poszczególnych grup Polaków w Niemczech. Jakkolwiek stosunek Rzeszy hitlerowskiej do Polaków był zawsze ten sam, polityka była niesłychanie różnorodna i środki wynaradawiania nadzwyczaj urozmaicone. Bowiem wynaradawianie było ostatnim celem, nie zaś niszczenie. Polak miał przestać być sobą a pozostać siłą roboczą, a nawet na przyszłość źródłem nowych sił niemieckich.

Pierwszą w czasie kategorię stanowili jeńcy wojenni. Jak uprzednio pisałem, byli oni również rozmaicie traktowani.

Oficerowie, jako warstwa przewodnicza narodu przez okres wojny pozostawali w obozach zamurowanych od świata zewnętrznego. Zachowywali oni prawa jeńców wojennych — i dlatego żyli. Litera konwencji genewskiej była wobec nich zachowana. Polityka *Wehrmachtu* wobec ogółu oficerów była polityką podjazdowej wojny nerwów, duchowego niszczenia ludzi, pozostających w zamknięciu. Pomagały w tym aż nazbyt częste wyjątki w stosowaniu konwencji genewskiej. Pomagały również warunki materialne, okresami nadzwyczaj ciężkie. Jaki będzie wynik tych przeszło pięciu lat niewoli powie medycyna i przyszłość? Należy wątpić, by Niemcy mieli zamiar puścić oficerów do kraju. Podobno istniał zamiar użycia ich po wojnie jako siły roboczej w koloniach w myśl zasady, że warstwę kierowniczą trzeba przed zniszczeniem wykorzystać.

Podoficerowie i szeregowi z kampanii wrześniowej wykorzystani byli jako siła robocza, zresztą zgodnie z postanowieniami konwencji genewskiej. W stosunku do nich jednak złamano ją już w 1940 r. Jeniec miał prawa ludzkie, choć był pozbawiony wolności i musiał pracować. Czerwony Krzyż czuwał i ukracał najjaskrawsze przekroczenia przepisów. Krętackie umysły niemieckie, dla których prawo było tylko pozorem, znalazły na to wyjście. Ponieważ Niemcy stwierdzili, że Państwo Polskie nie istnieje, zupełnie niezgodnie z literą i z duchem prawa międzynarodowego uznali, że wszystkie zobowiązania wobec niego przestały istnieć. Dla zachowania pozorów przeprowadzili oni swego rodzaju referendum wśród jeńców. Każdy otrzymał deklarację, mocą której występował z szeregów armii polskiej i zobowiązywał się do pracy w Niemczech na okres i na warunkach ustalonych przez niemiecki rząd pracy. Połączenie to oddawało każdego w niewolę prawa niemieckiego.

Na tej deklaracji wymagano podpisu. Podpis ten miał być dla Rzeszy parawanem, za którym należało ukryć pogwałcenie prawa. Jednak rezultat był osiągnięty. Jeńców pozostała mała garstka. Zaopiekował się nimi *Wehrmacht* bardzo specjalnie. Obozy koncentracyjne były specjalnością nie tylko władz cywilnych i partyjnych.

Żołnierze stali się cywilnymi niewolnikami, tak jak i ci wszyscy, których wywożono z Polski. Wszyscy Polacy stali się robotnikami. Niewielu dostało się do poszczególnych warsztatów pracy, gdzie mogli pracować w swoim zawodzie, mieć znośne płace i warunki. Zasadniczo Polak był tylko niewykwalifikowaną siłą roboczą, zwierzęciem bez praw do cywilizowanego życia, stopniem przejściowym do zwierzęcia roboczego. Z tą różnicą, że o zwierzę właściciel musi dbać, bo zań zapłacił. Polaka dostarczał Urząd Pracy — za darmo. Dorosły mężczyzna mógł przetrzymać zdrowo te parę lat, choć stałe poniżenie i brak moralnej więzi, które nakłada własne społeczeństwo musi pozostawić pewne ślady.

Część kompleksu niższości, poczucia upośledzenia zniszczona została razem z Rzeszą, ale reedukacja tych ludzi, powtórne ich wychowanie do normalnego życia nie może się na tym skończyć. Trzeba im dać pracę, odpowiedzialność w swoim zakresie i cel przed nimi. W naszym położeniu obecnym nie jest to łatwe. Celem dla każdego jest powrót do domu. Ale dla nas ten cel jest chwilowo nieosiągalny. Trzeba wytłumaczyć dlaczego, trzeba, by ci ludzie zrozumieli konieczność przetrwania, pomóc im w tym, jak pokonać apatię niemocy, stworzyć im warunki bytu, w których poczują się na swoim miejscu, we własnej, choć prowizorycznej społeczności.

Trzeba im dać polską gazetę i polskie radio, by wiedzieli co się dzieje i dlaczego. Gazeta, radio i Czerwony Krzyż muszą połączyć rozerwane rodziny — mężów i żony, rodziców i dzieci, krewnych i przyjaciół. By poczucie, że się jest wśród swoich, choć jeszcze nie u siebie, wytworzyło wspólnotę duchową, tak przez Niemcy zwalczaną.

Wysiedleńcy mogą się podnieść przez ambicję wykazania swej wartości. Mogą pracować i uczyć się dla siebie i nie na przekór innym, nie pod przymusem i wbrew prawu. Muszą zrozumieć, że uchylanie się od obowiązujących praw, niewykonywanie obowiązków przestało być nakazem chwili. Że wręcz przeciwnie, dziś prawo i jego poszanowanie jest z każdego punktu widzenia jedynym ratunkiem naszego narodu i państwa. Ludzi tych należy włączyć z powrotem do wspólnoty, objąć więzią społeczną — to powinno być naszym najważniejszym zadaniem. I to jest najtrudniejszym zadaniem.

Trzeba tym ludziom zwrócić rodziny, z którymi zostali rozłączeni. Jest to zadanie nie tylko informowania, ale i przenoszenia poszczególnych członków rodzin i znalezienia dla tych rodzin pomieszczeń i pracy.

Nie tylko trzeba połączyć rodziny, ale należy je również tworzyć. Robotnikom polskim nie wolno było się żenić i nie wolno było mieć dzieci. Kobieta w razie urodzenia dziecka płaciła daninę — przytem nie wolno jej było korzystać ze szpitali lub pomocy społecznej dla dziecka i matki. Dobrane już stadła trzeba złączyć węzłami prawnymi i moralnymi, dać dzieciom ojców, gdy to jeszcze możliwe.

Młodzież poszukująca i potrzebująca współtowarzysza winna go znaleść i założyć rodzinę, nie zaś jak dotychczas zaspakajać swe pragnienia w przelotnych znajomościach. Rozluźnienie obyczajów jest jednym z tragicznych skutków niewoli. Szczególnie kobiety były w Niemczech upośledzone. Nie posiadając żadnych praw, wydane na łaskę i niełaskę każdego pracodawcy lub ulegające warunkom w mieszanych obozach pracy, aż nadto często traciły poczucie własnej wartości. Perswazja, nawet przymus moralny nie powinien być środkiem unikanym, by wprowadzić pewien ład w masach. Przynajmniej póty, póki nie powróci mniej lub więcej świadome poczucie społeczne.

Najbardziej paląca jest sprawa dzieci i młodzieży. Młodzież, której wojna przerwała rozpoczętą naukę, przez lata ogłupiającej i nad siły pracy powróciła omalże do analfabetyzmu. Jeśli coś czytali, to w gotyku niemieckim. Wyniszczona jest fizycznie i często brak jej podstaw moralnych. Konieczne są dla nich zdrowe warunki, nauka i wychowanie, więc rodzina — lub internat w jej braku — i szkoła. Szkoły i kursy, nauka i jak najwięcej nauki.

Młodsze dzieci potrzebują może nauki jeszcze bardziej. Widziałem chłopców lat 11 — 12 nie mówiących już po polsku — tak samo i młodsze dzieci. Chłopcy samotni bez rodzin, pracujący ciężko wśród Niemców musieli mówić po niemiecku. Małe dzieci pozostawiane przez rodziców podczas roboty w otoczeniu niemieckim i nawet wysłane przez nich do szkoły niemieckiej, znają dwa trzy słowa po polsku. Nie jest to może regułą, ale niestety aż nazbyt częstym wyjątkiem.

Jak wspomniałem polityka niemiecka dążyła nie tylko do wykorzystania pracy Polaków, lecz również do wykorzystania ich jako źródła nowych sił niemieckich. Jest to nawiasem mówiąc wspólna azjatyckim narodom idea janczarów, wykorzystywanie żywotności i siły innych narodów przez wychowanie, odrzucenie tradycyjnych więzów, które tworzyły Europę. Rodzenie jest — według tych pojęć — czynnością mechaniczną, dziecko surowcem rzucanym w tryby maszyny państwowej, skąd ma wyjść robotem z narzuconymi reakcjami i obcym odczuwaniem.

Druga faza pracy wśród wychodźstwa polskiego w Niemczech, to praca wychowawcza. Jest to — moim zdaniem — najważniejsze dziś zadanie. Jadąc przez Niemcy, możemy się przekonać, że samo przetrwanie nie jest ostatecznym warunkiem uratowania społeczeństwa i narodu, bez których państwo nie może istnieć. Istotnym i nadrzędnym warunkiem są wartości pozamaterialne. Jeśli ich w porę nie uchwycimy, odbudowa państwa będzie zadaniem jeszcze bardziej utrudnionym, niż to przewidujemy w najgorszych snach.

Jest i trzecia faza zagadnienia Polaków w Niemczech, może najdłuższa i najogólniejsza: gdzie i jak przetrwać i doczekać powrotu? Ale to już wychodzi poza nasze wewnętrzne ramy. Polacy w Niemczech staną się zagadnieniem międzynarodowym nie tylko w płaszczyźnie czysto politycznej, ale i materialnej. Staną się zagadnieniem nie tylko dalekiej obcym Polski, ale problemem europejskim i światowym.

JAN KURZAWA



Naczelny wódz, gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski /pierwszy na lewo/ ze swoim szefem sztabu, gen. Pełczyńskim w zamku Itter koło Insbrucku — po oswobodzeniu z niewoli przez wojska amerykańskie

Przegląd tygodniowy

Straszliwy chaos, jaki zapanował w świecie po zakończeniu wojny z Niemcami rozszerza się coraz bardziej — obejmując najbardziej nawet niespodziewane tereny. W chwili, gdy konferencja w San Francisco po dwumiesięcznych borykaniach się z rozlicznymi trudnościami osiągnęła martwy punkt, potknąwszy się o sprawę veta wielkich mocarstw — Europa i Środkowy Wschód stają się terenem starcia sprzecznych interesów. Coraz liczniejsze konflikty wzrastająca nieufność między mocarstwami, wyraźnie zarysowująca się linia podziału Europy na zupełnie oddzielone od siebie sfery wpływów — wszystko to coraz wyraźniej nabiera charakteru zbrojnego pokoju, który nie wróży na przyszłość nic dobrego.

ZATARG NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

Konflikt jaki wybuchł między W. Brytanią a Francją na tle Syrii jest zjawiskiem szczególnie niepokojącym. Te dwa mocarstwa zachodnio-europejskie, których nic nie dzieli, a tak wiele łączy, znalazły się w stanie poważnego zatargu. Źródło obecnej sytuacji w krajach Lewantu jest dalekie, łączy się z historią ostatniej wojny i polityki mandatowej państw koalicji.

Dwa małe państewka Lewantu: Syria i Liban — przed pierwszą wojną światową wchodziły w skład imperium tureckiego. Po wojnie nastąpił podział tego imperium, które było mocarstwem nieprzyjacielskim, walczącym po stronie Niemiec. W roku 1920, na konferencji w San Remo przyznano Francji prawo sprawowanie opieki mandatowej nad Syrią i Libanem. W ciągu 20 lat — mimo powtarzających się zamieszek i niepokojów — Francja położyła duże zasługi w dziedzinie gospodarczego i kulturalnego rozwoju tych dwu krajów arabskich. Wpływy kulturalne Francji, których początek datuje się od końca XIX-go wieku — wzrastały z każdym rokiem. Język francuski stał się niemal drugim językiem ojczystym inteligencji syryjskiej i libańskiej.

Po klęsce Francji w 1940 roku Syria i Liban były rządzone przez Vichy. Uległość rządu Vichy wobec Niemiec otworzyła agentom niemieckim drogę do Syrii i Libanu. Mnożą się tam wtedy wpływy niemieckie, które próbuja podminować cały Środkowy Wschód. W 1941 roku położenie staje się tak groźne, że W. Brytania postanawia przeciwdziałać. Wojska brytyjskie, po pokonaniu oddziałów francuskich, wiernych Vichy opanowują oba państwa.

27 września 1941 dowódca wojsk "wolnych Francuzów" proklamuje z ramienia gen. de Gaulle niepodległość Syrii. W dwa miesiące później niepodległość otrzymuje również i Liban.

Przez dwa lata panuje w obu państwach względny spokój. Zostaje on zmącony dopiero w 1943 roku przez francuskiego komisarza generalnego, który złożył z urzędu prezydenta Libanu, rozwiązał parlament i narzucił mianowanego przez siebie prezydenta, zapowiadając, że będzie on sprawował władzę pod nadzorem Francuzów. Na skutek tych zarządzeń w Bejrucie wybuchły walki uliczne, doszło również do zamieszek w solidaryzującym się Damaszku.

Uspokojenie nastąpiło dopiero na skutek interwencji W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Gen. de Gaulle odwołał swego komisarza, a legalny prezydent powrócił do władzy. Rokowania przejął w swoje ręce gen. Catroux, który doszedł do porozumienia z przedstawicielami Syrii i Libanu — gwarantującego niepodległość tych państw z dniem 1 stycznia 1944, z tym, że na czas trwania wojny mają tam być stacjonowane oddziały francuskie — podobnie jak i oddziały brytyjskie.

Z początkiem bieżącego roku przedstawiciele państw Lewantu rozpoczęli rokowania z delegatem francuskim, gen. Beynet, w celu ostatecznego załatwienia spornych spraw. Po pierwszej fazie rokowań gen. Beynet udał się do Paryża po dalsze instrukcje. Tymczasem jednak do portu w Bejrucie wpłynął krążownik francuski, przywożąc dalsze kontyngenty wojsk.

Wzmocnienie garnizonu francuskiego wywołało ostry protest ze strony Syrii i Libanu. Oba państwa uznały ten akt za próbę wywarcia na nich presji w trakcie toczących się rokowań. Rozpoczęły się demonstracje i jak twierdzą źródła francuskie — czemu zresztą Syryjczycy zaprzeczają — ataki na francuskie instytucje. Zabito kilku żołnierzy francuskich. Francuzi odpowiedzieli kilkugodzinnym ogniem artyleryjskim na Damaszek, powodując poważne ofiary wśród ludności cywilnej.

Sprawa Syrii i Libanu nabrała wówczas rozgłosu międzynarodowego. Pierwsze próby kompromisowego załatwienia sporu nie powiodły się. Wówczas rząd brytyjski powziął zdecydowanie kroki, polecając dowódcy brytyjskiemu na Środkowym Wschodzie gen. Paget przywrócenie porządku. O decyzji tej został powiadomiony gen. de Gaulle, któremu jednocześnie zaproponowano spotkanie w Londynie przedstawicieli Francji, Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii celem ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy i zakończenia kryzysu.

Gen. de Gaulle odrzucił tę propozycję, oskarżając W. Brytanię, że to jej agenci wywołali rozruchy w Damaszku. Zaproponował on jednocześnie zwołanie konferencji pięciu wielkich mocarstw /włączając w to Rosję/, która zajęłaby się nie tylko sprawą Syrii i Libanu, ale w ogóle całego świata arabskiego.

Państwa arabskie, które popierają stanowisko Wielkiej Brytanii, zażądały, by ich przedstawiciele wzięli udział również w ewentualnej konferencji. Premier Syrii odrzucił oskarżenia prasy francuskiej przeciw syryjskim demonstrantom, jako bezpodstawne i oświadczył, że kraj jego nie uzna w swych granicach stałych interesów jakiegokolwiek mocarstwa.

Wobec tak sprzecznych wersji co do przyczyn kryzysu trudno jest ustalić, kto ponosi winę za obecne zajścia. Nie ulega jednak wątpliwości, że postępowanie Francuzów — nawet jeśli chodziło o samoobronę — przekroczyło dopuszczalne granice. Zarzut pod adresem W. Brytanii, że jej agenci wywołali zamieszki — nie brzmi zbyt przekonywająco. Trudno bowiem sądzić, by W. Brytanii mogło zależeć na prowokowaniu świata arabskiego, który zresztą wykazuje obecnie wielką solidarność.

W rezultacie wojska francuskie opuściły Damaszek pod eskortą oddziałów brytyjskich. Przyczyniło się to do pewnego odprężenia wzburzonej atmosfery, ale cały spór pozostaje jak dotąd w zawieszeniu i możliwość tak potrzebnego Europie paktu brytyjsko-francuskiego wydaje się obecnie dalsza, niż kiedykolwiek.

Sprawa Syrii i Libanu to niestety jeszcze jeden dowód stosowania polityki siły przez wielkie mocarstwa w stosunku do małych narodów. I jeszcze jeden dowód niezliczonych sprzecznych interesów między mocarstwami, których harmonijna współpraca stanowić ma wyłączną podstawę przyszłej organizacji bezpieczeństwa świata.

SAN FRANCISCO POD ZNAKIEM ZAPYTANIA

W tej sytuacji i w tej atmosferze budowa tej organizacji kuleje i kuleć musi. Konferencja w San Francisco miała pracować dla przyszłości w oderwaniu od wypadków toczących się obecnie na świecie. Ale od rozwoju tych wypadków zależy właśnie ta przyszłość i nic nie przyjdzie z najpiękniej nawet brzmiących haseł, czy z najbardziej nawet przekonywująco wyglądających projektów, jeśli przed wprowadzeniem ich w życie świat podzielony zostanie przy pomocy brutalnej siły i zagnieżdżą się w nim na stałe złe obyczaje, pozostające w sprzeczności z najbardziej prymitywnymi zasadami życia międzynarodowego i międzynarodowej sprawiedliwości. San Francisco zamknęło oczy na losy Polski, domagającej się sprawiedliwości. Ale sprawa Polski zawisła nad konferencją jak czarna, ciężka chmura. Dziś inne narody przychodzą tam szukać sprawiedliwości.

Konferencja w San Francisco nie potrzebuje jednak szukać trudności na świecie. Ma ich dość na własnym podwórku. Trwający tam spór toczy się o zasady. Ale te zasady — to właśnie życie, to właśnie przyszłość Europy i świata. Zainteresowanie opinii publicznej konferencją w San Francisco zmniejszyło się dziś poważnie pod wpływem wypadków rozgrywających się w Europie i na Środkowym Wschodzie. Wzrośnie ono jednak z pewnością pod wpływem trudności, na jakie Konferencja ostatnio natrafiła. Przebyła ona ich już wiele, borykając się z najrozmaitszymi sprawami, tak że zdawało się, iż będzie można zakończyć pomyślnie jej obrady w początkach czerwca. Pękła jednak bomba, której skutków obawiano się oddawna. Sprawa veta wielkich mocarstw okazała się zaporą nie do przebycia.

W Jałcie uzgodniono, że każde z wielkich mocarstw zasiadających w Rządzie Bezpieczeństwa posiada prawo veta /sprzeciwu/, wstrzymujące wszelką akcję polityczną, gospodarczą czy wojskową przeciwko przyszłemu napastnikowi. To prawo veta "wielkiej piątki" spotkało się z rozlicznymi sprzeciwami ze strony mniejszych narodów, które słusznie twierdziły, że nie daje im ono żadnej gwarancji bezpieczeństwa i stanowi furtkę dla zamaskowanej agresji mocarstw.

Tymczasem jednak okazało się, że Moskwa idzie jeszcze dalej, niż postanowienia, podjęte w Jałcie. Komisja pięciu /zasiadał w niej przedstawiciel rosyjski p. Sobolew/ ustaliła projekt, przewidujący, że przed ustaleniem sprawy napastnika konflikt może być dyskutowany i rozpatrywany przez Radę Bezpieczeństwa. Po ustaleniu tego projektu delegacja rosyjska odwołała się do Moskwy. Przez dłuższy czas oczekiwano odpowiedzi, wreszcie nadeszła odpowiedź — odmowna. Rosja żąda, by każde z wielkich mocarstw miało prawo wstrzymać nawet jakąkolwiek dyskusję nad ewentualnym konfliktem i nie dopuścić do dochodzeń.

W tej sytuacji nadzieje pomyślnego zakończenia konferencji zmalały niepomiernie. Trudno przypuścić, by mniejsze państwa zgodziły się na takie rozstrzygnięcie, zdające je na absolutną łaskę i niełaskę wielkich mocarstw. Ale Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, a wraz z nimi Francja i Chiny zajęły również zdecydowane stanowisko przeciw takiemu brutalnemu zdzieraniu z organizacji światowego bezpieczeństwa wszelkich nawet pozorów sprawiedliwości międzynarodowej. Przewiduje się, że projekt w brzmieniu rosyjskim zostanie zdecydowanie odrzucony i że wówczas Rosja opuści Konferencję.

San Francisco pracuje dla przyszłości. Dla rozstrzygania bieżących zagadnień mocarstwa sprzymierzone nie mają aparatu uprawomocnionego do podejmowania decyzji — poza spotkaniami "Wielkiej Trójki".

CZY NOWE SPOTKANIE TRZECH?

A zagadnień tych namnożyło się niepokojąco wiele. Omówiona na wstępie sprawa Syrii i Libanu stanowi osobne zagadnienie, będąc niepokojącym sporem wśród mocarstw zachodnio-europejskich. Ale trudności i spory, istnieją w samej Europie, mnożą się wzdłuż sztucznej linii podziału na strefy wpływów, która nieprzebytym murem oddzieliła Wschód od Zachodu. Chociaż prasa brytyjska coraz mniej miejsca poświęca tym sprawom, skupiając uwagę na nadchodzących wyborach, to jednak istnieją one nadal i bynajmniej nie straciły nic na swej ostrości.

W Polsce w stosunku do której Rosjanie pogwałcili wszelkie zaciągnięte zobowiązania i obietnice, panuje kompletne bezprawie, gwałt i wyzysk. Żaden system współpracy międzynarodowej, żadna organizacja pokojowa Europy czy świata, żadne cywilizowane państwo nie może zamknąć oczu na cierpienia i losy narodu polskiego.

Postanowienia powzięte w sprawie Polski w Jałcie praktycznie nie istnieją. Ale pogwałcenia tych postanowień można się łatwo doszukać w innych częściach Europy. Sprawa okupacji Niemiec, gdzie każde mocarstwo stosuje inną politykę — ruszy być może, naprzód dzięki zapowiedzianemu spotkaniu gen. Eisenhowera, marsz. Montgomery, marsz. Żukowa i gen. de Lattre Tassigny.

Ale w Trieście nic się nie zmieniło, mimo optymizmu, wykazywanego przez niektóre pisma brytyjskie. Na Bornholmie Rosjanie pozostają nadal, choć tak niewiele już słychać o tej wyspie, a rosyjska strefa wpływów pozostaje odcięta od reszty świata zaporą, której przedstawiciele mocarstw zachodnich nie są w stanie przebyć.

W tej sytuacji Prezydent Truman i premier Churchill czynią wysiłki zmierzające do nowego spotkania "Wielkiej Trójki". Stanowisko marsz. Stalina w tej sprawie nie jest jeszcze znane. Świat wiąże z tym spotkaniem olbrzymie nadzieje, podobnie zresztą jak to było przed Jałtą. Deklaracja krymska i postanowienia podjęte w Jałcie były olbrzymim ustępstwem na rzecz rosyjskiego punktu widzenia. Jak dotąd jednak nie widać, by zostały one gdziekolwiek skutecznie wprowadzone w życie, a wiadomo, że to nie Wielka Brytania i Stany Zjednoczone stoją temu na przeszkodzie.

Czy nowe spotkanie "Wielkiej Trójki" doprowadzi do dalszych ustępstw w stosunku do Rosji, czy też mocarstwa zachodnie zajmą zdecydowane stanowisko? Od odpowiedzi na te pytania zależą dziś losy Europy.

ZASTĘPCA

Nowości lotnicze

O istnieniu bieguna magnetycznego wiedziano bardzo dawno. Są wszelkie dane, że igłę magnesową znali już Egipcjanie i umieli się nią nawet posługiwać. Według zdania uczonych ostatnich wieków biegun magnetyczny nie jest punktem stale leżącym w określonym miejscu, lecz raczej wędrownym, gdyż zmieniającym swe położenie w stosunku do bieguna północnego.

W 1831 roku podróżnik James Clark Ross, jeden z licznej rzeszy badaczy okolic podbiegunowych, określił pozycję bieguna magnetycznego. Według jego zdania biegun ten znajdował się na półwyspie Bootnieńskim, w północnej Kanadzie przy cieśninie Franklina. W ciągu ostatnich 114 lat przyjmowano, że twierdzenie Rossa jest słuszne.

Z czasem jednak stwierdzono pewne odchylenia igły magnetycznej w busolach, które pozwalały przypuszczać, że po upływie stu lat określenie Rossa nie jest całkowicie ścisłe. Znajomość dokładnego położenia północnego bieguna magnetycznego jest konieczna, gdyż ma ona poważne znaczenie dla nawigacji, szczególnie zaś dla nawigacji powietrznej. Dlatego w ramach Imperialnej Szkoły Nawigacji Powietrznej zorganizowano lot naukowy, któryby usunął wszelkie wątpliwości i stwierdził położenie tego bieguna.

Do lotu użyto samolotu bombowego królewskiego lotnictwa, typu "Lancaster". Wewnątrz samolotu urządzono specjalne bardzo bogato zaopatrzone laboratorium naukowe. Poza tym załoga składająca się z kilkunastu osób została zabezpieczona pod każdym względem, wygody i bezpieczeństwa, nawet w razie przymusowego lądowania. Jakże nieprzemyślanym i dziecinnym w porównaniu z tym lotem, był ów lot balonem w wolnym do bieguna, zorganizowany w ostatnich latach XIX wieku. Z uczestników tej wyprawy nikt zresztą nie powrócił. Szczątki balonu znaleziono dopiero w 1927 roku. Tu rzecz się miała inaczej. Przypuszczamy, że nigdy jeszcze badacze nie korzystali z tak dogodnych warunków pracy w czasie wyprawy podbiegunowej i nigdy dotąd nie zdołali uzyskać tak doniosłych wyników w tak krótkim czasie.

Położenie bieguna magnetycznego ustalono w czasie trzeciego z kolei lotu, jednak ścisły punkt tylko teoretycznie został określony, bowiem instrumenty wykazywały największe odchylenie w ciągu półgodziny, gdy "Aries" /tak nazwano samolot badawczy/ przelatywał w rejonie Wysp Swedrupa, a więc 200 — 300 mil na północny — zachód od położenia oznaczonego przez Rossa.

Wydawało by się, że tak drobna różnica, niepowinna odgrywać wielkiej roli w obliczeniach kursów na całej kuli ziemskiej. Rzeczywiście nie odgrywa, jeżeli chodzi o dotychczasowe szlaki komunikacyjne. Lot "Ariesa" nad biegunem północnym i północnym biegunem magnetycznym miał jednak bardziej doniosłe cele, niż ostateczne ustalenie obecnego punktu, do którego kierują się ostrza igieł magnetycznych. Arktyk zaczyna odgrywać coraz poważniejszą rolę w przyszłym planowaniu komunikacji lotniczych. Komunikacja kontynentów przez Arktyk byłaby bliższa i łatwiejsza, gdyby zwalczyć szereg trudności. Trudności te leżą w sferze nawigacyjnej i — politycznej.

Trudności nawigacyjne są ogromne, choćby z tego względu, że podstawowe środki ukazywania drogi jak n.p. kompas — w tym wypadku są przedmiotem nieużytecznym. Wobec pogód, stale niesprzyjających gwiazdy też nie zapewniają dostatecznej pomocy. Orientacja "na wzrok", a więc porównywanie mapy z terenem nie daje wyniku wobec nieskończonej płaszczyzny lodu i śniegu, która całkowicie pokrywa kontury lądów i morza. Jak "Aries" wybrnął z tych trudności, podamy kiedyś do wiadomości naszym czytelnikom.

Jeżeli teraz przejść do spraw natury politycznej, to rozwojowi komunikacji arktycznej będzie stała zawsze na przeszkodzie Rosja. N.p. najkrótsza geograficznie droga Kanada — Indie przez biegun, musi obejmować przelot nad terytorium rosyjskim. Jak dotychczas Z.S.R.R. niezmiennie stoi na stanowisku nietykalności jej terenów dla wszelkiego rodzaju samolotów komunikacyjnych obcych narodowości. Podobnie ma się sprawa z więcej niż połową możliwych traktów lotniczych przez Arktyk. Jak będzie można rozwiązać te sprawy dopiero przyszłość pokaże.

Z chwilą, kiedy opracowane zostaną wyniki lotu "Ariesa", rozpoczną się dalsze loty, mające na celu zbadanie strefy arktycznej, jako nowego pola ekspansji lotnictwa komunikacyjnego. Przypuszczać należy, że jednak komunikacja taka jest możliwa. Dla Polski miałoby to także poważne znaczenie, bowiem niektóre z tych linii transbiegunowych, kończące się w Skandynawii, swe dalsze połączenia na południe i wschód uzyskują w Warszawie.

Ostatnie wiadomości z San Francisco przyniosły dość niezrozumiałą sensację, że w tej chwili w ramach międzynarodowych sił bezpieczeństwa, nie przewiduje się organizacji międzynarodowego lotnictwa wojennego. Należy to przetłumaczyć na język praktyczny: jeśli międzynarodowe siły bezpieczeństwa nie będą posiadały lotnictwa, w ogóle ich istnienie a przede wszystkim możliwość ich działania jest bardzo wątpliwa.

Jeszcze niedawno korespondent jednego z najpoważniejszych pism lotniczych świata, "Aeroplane" pisał: "Międzynarodowe siły lotnicze bezpieczeństwa są podstawowym warunkiem istnienia pokoju". W jednym z pierwszych oficjalnych oświadczeń ogłoszonych jako rezultat narad w Dumbarton Oaks znajdujemy zdanie: "Bezpieczeństwo pokoju musi oprzeć się na międzynarodowych siłach zbrojnych, stojących do rozporządzenia nadrzędnej organizacji międzynarodowej, a składających się przede wszystkim z lotnictwa, dalej z marynarki oraz wojska lądowego" przy czym w komentarzach wyjaśniono, że porządek w jakim podano rodzaje sił zbrojnych nie jest przypadkowy, gdyż jedynie silne lotnictwo jest w stanie zapobiec grożącej napaści i niweczyć w zarodku wszelkie próby jakiejś wojny napastniczej.

Gdy tej siły lotniczej nie ma, inne Zarzucenie myśli utworzenia międzynarodowych sił lotniczych bezpieczeństwa, oznacza chwilową rezygnację z wszelkiej współpracy międzynarodowej. Jednak w obecnym położeniu zrozumiałe jest stanowisko tych mocarstw, które się temu sprzeciwiły. Boją się one, że to co miało wyjść światu na dobro, zapewniając narodom pokój mogłoby być użyte dla celów przeciwnych: zduszenia małych narodów, odebrania im możliwości obrony i przymusowe wciśnięcie w systemy, w których nie byłyby zdolne ani żyć, ani się rozwijać.

M. J. GORDON

Z tygodnia na tydzień

28 *maja: Gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski mianowany Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych dekretem Prezydenta R.P. z dnia* 30 *września* 1944 *r. objął swe obowiązki po powrocie z niewoli niemieckiej.*

—W rozkazie do wojska gen. dyw. T. Bór-Komorowski powiedział m.in.: "W ciągu pięciu i pół lat Naród Polski zachował niezłomną postawę w nieprzerwanej ani na chwilę walce z najeźdzcą niemieckim, dochowując wiernie przyjaźni naszym brytyjskim i amerykańskim Aliantom . . . Niezależnie od tego, z jakich formacyj się wywodzicie, czy szliście z Polski, czy ze środowisk polskich zagranicą, dziś obowiązkiem Waszym, wszystkich żołnierzy, jest tworzyć zwartą i nierozerwalną całość w oparciu o legalny Rząd Rzeczypospolitej. Tego wymaga od nas powaga sytuacji, tego oczekuje od nas Naród Polski".

—Gen. dyw. Władysław Anders ustępując ze stanowiska p.o. Naczelnego Wodza w rozkazie do wojska powiedział m.in.: "Wyznaję, że byłem dumny z Was, gdy mimo najczarniejszych perspektyw ogólnych i osobistych — poszliście w bój na odwiecznego wroga z niezłomną wolą zwycięskiego zakończenia zmagań . . . Gdyby pola bitew miały ujrzeć polskich żołnierzy, będę wśród Was, znów w waszych szeregach".

—Stettinius, Sekretarz Stanu dla spraw zagranicznych podał w 5-ciu punktach wytyczne polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. W sprawie Polski oświadczył: "Stany Zjednoczone głęboko żałują, że Polska nie była reprezentowana na konferencji w San Francisco. Polska jest jednym ze Zjednoczonych Narodów i powinna była być tutaj".

—Rząd amerykański wystosował notę do rządu francuskiego, żądającą wyjaśnienia polityki Francji w stosunku do Syrii i Libanu.

29 *maja: Nadfortece amerykańskie bombardowały Jokohamę, największy port oceaniczny Japonii.*

—Ogłoszono, że w Syrii i Libanie toczą się walki. Artyleria francuska ostrzeliwuje Damaszek i Hamę.

—Premier Churchill podał, że straty Imperium Brytyjskiego od początku wojny do końca lutego 1945 *r. wyniosły* 1.128.315 *ludzi, z czego* 307.201 *zabitych.*

30 *maja: Ogłoszono, że Persja zażądała wycofania wojsk alianckich z jej terytorium.*

—W Londynie rozpoczęła się konferencja przedstawicieli Narodów Zjednoczonych w celu ustalenia procedury karania zbrodniarzy wojennych.

31 *maja: Premier Churchill wystosował notę do gen. de Gaulle'a żądającą zaprzestania ognia w Syrii i Libanie i wycofania wojsk francuskich do koszar. Dowódca wojsk brytyjskich na Bl. Wschodzie otrzymał rozkaz interweniowania.*

—Rząd francuski wydał rozkaz zaprzestania ognia w Syrii i Libanie.

—Nadfortece amerykańskie bombardowały Osakę, ważne centrum przemysłowe Japonii.

—Ogłoszono, że straty wojenne Stanów Zjednoczonych wyniosły 1.002.887 *z czego* 227.097 *zabitych.*

1 *czerwca: W Paryżu ogłoszono tekst noty rządu francuskiego do rządu amerykańskiego. Gen. de Gaulle złożył publiczne oświadczenie w odpowiedzi na notę prem. Churchilla.*

—W Moskwie ogłoszono o skierowaniu przez rząd sowiecki not do rządów W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Chin i Francji w sprawie Syrii i Libanu.

—Wojska brytyjskie wkroczyły do Damaszku. Okręty marynarki brytyjskiej przybiły do Bejrutu.

—Ogłoszono, że straty wojenne Marynarki Brytyjskiej wyniosły 730 *okrętów, imperialnej: —* 46.

Apel w Oświęcimiu

I.

Dzień pracy w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu trwa 12 godzin. Zaczyna się o 6-ej rano apelem i kończy się wieczór także apelem. W południe odbywa się jeszcze jeden apel, gra orkiestra i jest przerwa obiadowa. Gdy za jakieś przekroczenie regulaminu poszczególny blok czy cały obóz otrzymują wieczorem apel karny, dzień z 12-u godzin przedłuża się daleko w noc.

Raz, w październiku 1940 roku, pewien chory na biegunkę zamarudził w latrynie i parę minut spóźnił się na apel. Cały trzeci blok otrzymał za karę czterogodzinny apel nocny. Blisko 700 ludzi stało na wietrze pod ulewnym deszczem, w przenikliwym chłodzie. Umarło wtedy trzech więźniów; jednego z nich apel zastał w agonii.

Był to już drugi apel karny w niedługim przeciągu czasu. Niecały tydzień przed tym, gdy *Blocksführer*, SS Hans Kretzmann, znalazł w sienniku jednego z więźniów woreczek z tytoniem, trzeci blok stał na apelu dwie godziny. Winowajcę zapakowano na tydzień do ciemnicy. Po tygodniu przeniesiono go do krematorium. Był to silny mężczyzna po czterdziestce i chociaż rok przebywał w obozie, wyglądał zdrowo i mocno.

Rygor 12-u godzin jest ustanowiony dla całego roku. Latem lżej go znosić, jesienią i zimą — ciężej. Słoty i zimna podwajają czas. Ludzie są źle ubrani, mają na sobie cienkie drelichy i do pierwszych przymrozków są bosi i bez czapek. Obojętna natura sprzymierza się wtedy z ludzkim okrucieństwem i ludzką pogardą.

Gdy nastają krótkie dnie, praca zaczyna się w nocy, a końca dobiega także w mrokach. Oślepiający blask reflektorów wydobywa z ciemności jasność ostrzejszą niż dzienna. Oba apele, ranny i wieczorny, odbywają się przy tym obnażającym i złowrogim świetle. Dookoła jest noc ogromna i niema. Gardłowe krzyki *Capów* i SS-ów donośniej i chrapliwiej rozbrzmiewają, aniżeli w dzień. Także SS-i, dozorujący obóz z drewnianych wież pilniej czuwają przy swych karabinach maszynowych. Poza tym wstaje mglisty, chmurny dzień, lub zapada noc.

Jesienią 41-go roku Oświęcim przechodził ciężkie dnie. W związku z masowymi aresztowaniami oraz łapankami po miastach i po drogach przygodnych ludzi, do obozu przychodziły coraz nowe transporty. Zwożono je zawsze nocą. W blasku reflektorów, wśród wrzasków SS-ów, wystrzałów i ujadania szczutych psów, gnano z kolei ten ciemny, stłoczony tłum aż po bramę, na której płonął wielki napis: *“Durch Arbeit zur Freiheit”*.

Po niedługim okresie znośnych warunków mieszkaniowych, w sztubach, obliczonych niegdyś, gdy budowano austriackie koszary, na 17 łóżek, gnieździło się teraz po 100 i więcej ludzi. Sienniki ciasno stłoczone przy sobie służyły dwu a nieraz i trzem więźniom. Wcześnie zaczęły się tego roku chłody. Jesień była ostra i słotna. Śmiertelność wzrastała z dnia na dzień. Szerzyły się choroby, szczególnie biegunka, zapalenia płuc i schorzenia pęcherza.

Poza tym w związku z przybyciem do obozu nowych strażników kurs w stosunku do więźniów uległ silnemu zaostrzeniu. SS-i, przysłani tutaj przeważnie za jakieś służbowe czy prywatne uchybienia, chcąc z miejsca wykazać się przed komendantem obozu, szaleli z gorliwości, która wyładowywała się w nieustannych biciach, kopaniach i najwymyślniejszych szykanach. Śladem swych przełożonych szaleli również *Capowie* bloków i ich zastępcy. Nawet niejeden z pośród “sztubowych”, więzień, jak wszyscy inni, ulegał tej ogólnej atmosferze i bity — bił z kolei swych współtowarzyszy. Plaga kar spadła na obóz.

W kilka dni po drugim karnym apelu trzeciego bloku zdarzyła się rzecz groźna: jednego z więźniów, należącego do tego bloku, chwytano na nieudanej próbie ucieczki. Stało się to przedpołudniem w godzinach pracy. Natychmiast zarządzono apel.

Gdy obóz wśród wzmożonych wrzasków SS-ów i capów ustawił się blokami w przepisowych dziesiątkach, po długim, prawie godzinnym czekaniu, wpędzono na plac przed front szeregów — uciekiniera. Był to młody, dwudziestoparoletni chłopiec. Kopany i pchany przez otaczających go SS-ów szedł, potykając się, oślepiony krwią, która spływając z rozciętego czoła, zalewała mu oczy. Kilka tysięcy ludzi wyprostowanych na baczność, przypatrywało mu się z natężeniem i w milczeniu. Gdy tamten doszedł do środka placu, uderzenie pięścią w plecy zmusiło go do wyprostowania się.

Wtedy jeden z SS-ów znany z nieprawdopodobnie długich rąk, wepchnął mu za kołnierz kij z niemieckim napisem: “Znowu jestem tutaj”. Drąg przymocował do szyi sznurkiem. Drugi SS., osiemnastoletni kędzierzawy Dietrich, wsadził chłopcu na ostrzyżoną głowę koguta skleconego z kolorowych papierków, a do rąk wetknął mu bębenek z pałeczką. Pozostali SS-i ryczeli ze śmiechu. Przycichli dopiero wtedy, gdy zabrał głos komendant. Był to drobny bardzo zwarto zbudowany mężczyzna około czterdziestki, o nieproporcjonalnie dużej głowie i martwej, ziemistej twarzy, która przypominała maskę. Przemówił krótko swoim głuchym i bardzo donośnym głosem człowieka przywykłego do rozkazywania.

Niefortunnego uciekiniera skazano na 100 kijów. Cały obóz miał być świadkiem egzekucji. Ale zanim to nastąpiło, kazano winowajcy przemaszerować wzdłuż wszystkich szeregów swoich współtowarzyszy. SS-i i *Capowie* pilnie uważali, aby nikt nie odważył się opuścić oczu. Kto to uczynił, był natychmiast bity. Po pierwszych biciach spojrzenia wszystkich wlepione były w idącego.

Szedł wolno krokiem dziwnym, jakby nie na swoich nogach, wyprostowany, lecz z oczami ciągle niewidzącymi, powleczonymi mgłą, która nadawała im obcy, nieludzki wyraz. Usta miał pokrwawione i skrzywione grymasem, widać było, że końcem języka zwilża ranę po wybitych zębach. W lewej dłoni trzymał bębenek, a prawą, która była krwawym strzępem uderzał weń pałeczką, wybijając takt równy i okropny.

Cisza była ciężka i przytłaczająca, jaka zalega w tłumie opętanym grozą. Wśród niej niezmiennym rytmem rozbrzmiewały tępe i krótkie uderzenia pałeczki w pergamin bębenka. Po chmurnym ranku przejaśniło się teraz cokolwiek i nawet słońce ukazało się z-poza strzępów brunatnych obłoków. Delikatna jasność prześwietliła mgliste powietrze, a srebrne liście smukłych topoli, rosnących wzdłuż czerwonych bloków, zalśniły czystą wilgocią. Czas mijał wolno.

Na koniec uciekinier, obszedłszy wzdłuż wszystkich szeregów wrócił z powrotem na środek placu. Tam *Capowie* wykańczali jeszcze coś przy podniesieniu. Musiał więc chwilę czekać obok. Gdy skończyli zmuszono go, aby wdrapał się na estradę. Pomagano mu biciem i krzykami.

Wreszcie tam stanął. Porwany drelich ledwie skrywał jego nagość. Stał z opuszczonymi rękami, ciągle trzymając w jednej bęben, w drugiej pałeczkę. Błazeński kogut przekrzywił mu się na głowie, którą pochylał trochę w bok; uwierał go widać kij z napisem. Oczy jego do końca pozostały niewidzące, choć wyraźnie szukały wśród tłumu, w miejscu, gdzie stał trzeci blok, jakiejś jednej twarzy. Być może znalazły ją, bo w pewnej chwili jak gdyby cień uśmiechu nieśmiały i prawie pogodny przesunął się po jego skrzywionych wargach. Wtedy pchnięto go na środek podniesienia.

Dalej wszystko już poszło szybko. Biło kijami sześciu *Capów*. Z początku uderzali kolejno, lecz gdy po pierwszych kilkunastu razach chłopiec upadł, poczęli leżącego tłuc wszyscy równocześnie. Gdy skończyli i zeszli z estrady, na deskach pozostała bezkształtna, krwawa miazga. Na tym się skończyło. Obóz wrócił do przerwanych prac — estradę zostawiono.

Zabity nazywał się Wacław Zawadzki, miał 23 lata. Z fachu był radiotechnikiem, do obozu dostał się przed rokiem za kolportaż nielegalnej prasy. Jeszcze tego samego dnia w sztubie, gdzie sypiał, wszczął się spór o miejsce po nim na sienniku. Ponieważ współtowarzyszem Zawadzkiego był młody i zdrowy student z Warszawy, Stanisław Karbowski, pragnęli z nim spać wszyscy ci, którym zatruwali sen chorzy na pęcherz. Chętnych było wielu.

Ostatecznie dzięki nieporadności “sztubowego” — Pawłowskiego, magistra prawa z Krakowa, wmieszał się w te spory zastępca *Capa*, niejaki Nadolny, przestępca kryminalny, a przed tym na dobrych kilka lat przed wojną, posługacz w miejskim szpitalu w Pszczynie. Nadolny przydzielony był do pilnowania swego bezpośredniego zwierzchnika, Niemca Schredera, który swój socjalizm odpokutowywał od sześciu lat po różnych obozach, a ostatnio przeniesiony z Dachau do Oświęcimia pełnił tutaj obowiązki *Capa* trzeciego bloku.

Interwencja Nadolnego skończyła się zbiciem kilku więźniów, “sztubowy”, niepozorny człowieczek o twarzy gryzonia, też przy tym dostał za swoje, a na siennik przydzielono Karbowskiemu starszawego i ledwie już trzymającego się na nogach nauczyciela przyrody z lubelskiego gimnazjum. Nazywał się ten profesor — Ignacy Śliwiński. Siedział w obozie od miesiąca zaledwie, lecz nie wyglądał na takiego, co długo pociągnie. Od paru tygodni pracował przy wałowaniu terenu, a ponieważ był boso, poranił sobie stopy od ostrego żwiru. Te rany jątrzyły mu boleśnie i ropiały. Cierpiał poza tym na silny bronchit, a na głowie miał kilka ran od uderzeń *Capa*, kierującego walcem, lewą nerkę obluzowaną od kopnięcia, a na domiar wszystkiego złego załatwiał się w spodnie. *Untercapo* znał go z tej strony i co dzień regularnie bijał go za obsiusiany siennik. Ponieważ Karbowski od wielu miesięcy sypiał i przyjaźnił się z Zawadzkim, więc Nadolny powziął podejrzenie, że chłopiec musiał coś wiedzieć o planowanej ucieczce tamtego. Postanowił go mieć na oku, a na początek zdecydował uprzyjemnić mu życie nowym współtowarzyszem.

Tego wieczoru Staś długo nie mógł zasnąć. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami, głowa ciążyła i chwilami zdawało mu się, że zapada się w głęboki mrok. Lecz był przytomny i senności nie czuł wcale. W pewnej chwili kierując się odruchem wielomiesięcznego przyzwyczajenia, uniósł cokolwiek rękę, aby znaleźć w ciemnościach dłoń przyjaciela. Natrafił na obce ciało.

Profesor jeszcze nie leżał. Skulony, ciężko mocując się ze świszczącym oddechem, opatrywał sobie po omacku stopy jakimiś gałganami. Niespodziewanie dotknięty drgnął i Staś prawie natychmiast uczuł, jak ciepła mokrość zaczyna mu podpływać pod uda. Machinalnie uniósł się i równie machinalnie położył się z powrotem. Było pod nim tak mokro, jakby wylano na siennik kubeł wody.

Profesor siedział bez ruchu, zaprzestał opatrywania nóg. Dokoła ze wszystkich stron dobiegały ciężkie pochrapywania śpiących. Upłynęło tak parę chwil. Wreszcie profesor szepnął bardzo cicho i pokornie:

—Przepraszam . . .

Stasiowi aż załaskotało w piersiach od nagłej ochoty roześmiania się. Nie wytrzymał i parsknął krótko, lecz dość głośno. W odległym kącie sztuby poderwał się ktoś na sienniku.

—Cisza — krzyknął zdenerwowany głos.

Był to “sztubowy” Pawłowski, który dzisiaj na apelu i ostatnio od *Untercapa* oberwał niezliczoną ilość uderzeń po twarzy. Normalnie koleżeński i uczynny, w okresach, kiedy ulegał panicznemu strachowi, stawał się niemożliwy. Tak i teraz zerwał się na nogi i począł wołać przyciszonym głosem:

—Chcesz do raportu jeden z drugim, chcesz, co, chcesz? Który się roześmiał?

W przeciwległym kącie sztuby p . . . ktoś bardzo głośno.

—Świnia — krzyknął sztubowy.

—Ty — odezwał się ze środka niski głos — nie bądź za mądry, jak *Untercapo* usłyszy, to i ty dostaniesz w mordę, mało ci było?

“Sztubowy” przycichł.

Staś wkładał coraz większy wysiłek, aby stłumić w sobie śmiech. Trzęsło nim jak febrą od środka, gdzieś aż z głębi, brzucha, bulgotało mu w piersiach, do gardła nabiegały jedna po drugiej jątrzące łaskotki. Przypierała go ta potrzeba śmiechu na głos coraz natarczywiej, całkiem jak biegunka. Jednocześnie zamierał ze strachu na myśl, co się stanie, gdy nie zdoła śmiechu w sobie ściszyć. I tak wśród tych dwóch sprzecznych uczuć męczył się dłuższy czas. Wreszcie odwrócił się na brzuch i nagle, nie wiedząc kiedy zasnął.

Nowy dzień zaczął się normalnie. Wstawano, gdy na dworze było zupełnie ciemno. Okazało się, że na izbie jest konający: lekarz z Warszawy, doktór Parczewski, chory od kilku dni na zapalenie płuc. Parczewski był przytomny. Wiedział, że mu niewiele godzin pozostało do życia i prosił, żeby się nim nie zajmowano. “Sztubowy” pobiegł jednak po *Capa*, ale ten był zajęty gdzieindziej, więc stało się jak wczorajszym wieczorem — przyszedł Nadolny. Ten, dzięki dawnemu fachowi, miał dość dobre oko, aby z miejsca rozpoznać agonię. Pochylił się nad doktorem i trąciwszy go końcem buta krzyknął:

—Wstawać, ty!

“Sztubowy”, widząc skierowane ku sobie spojrzenie towarzyszy, zaryzykował:

—Może go z apelu zwolnić? — spytał lękliwie.

Untercapo zwrócił ku niemu swoją pociągłą twarz, ścienioną sinawym zarostem bruneta. Wulgarne, choć bardzo regularne rysy nadawały tej twarzy niepokojącą, pochmurną urodę. Sztubowy nerwowo wyprostował się. Tamtem przypatrywał mu się uważnie i długo, wreszcie twardo powiedział:

—Na apelu ma mi nikogo nie brakować, a jak co, to ty będziesz odpowiadał, już ja cię wtedy oporządzę, zobaczysz.

I ogarnąwszy powolnym spojrzeniem stojących dokoła dodał:

—Nie radziłbym nikomu zwracać się wyżej.

Nadolny cieszył się szczególnym zaufaniem *Block-führera*, Kreutzmanna. Wiedziano zresztą, że *Capo* Schreder nigdy nie cofał zarządzeń swego podwładnego. Wszelkie odruchy niezadowolenia starannie ukrywał i tylko bardziej spostrzegawczy i długo przebywający w obozie więźniowie zdawali sobie sprawę, co ten człowiek, na zewnątrz służbista jak inni, istotnie myślał i odczuwał. Był dobrze zbudowany, miał silną i muskularną rękę mechanika, którym był w Hannowerze za czasów swojej wolności, lecz gdy bił, uderzenia jego były łagodniejsze od uderzeń innych dozorców, nigdy też nie zdarzało się, aby *Capo* z premedytacją uderzał w specjalnie wrażliwe na ból części ciała. Można też było zauważyć, że Schreder rzadko kiedy bił, gdy był sam. Najsurowszym okazywał się prawie z reguły w obecności swego *Under-capo* albo *Block-führera* Kreutzmanna

Ponieważ sprawę wziął w swoje ręce Nadolny, do apelu stanąć musiał i umierający doktór. Magister Pawłowski, rozstrzęsiony i rozkrzyczany, osobiście dopilnował, aby rozkaz *Unter-capa* został sumiennie wykonany. Przed opuszczeniem “sztuby” Nadolny zdążył jeszcze skontrolować siennik, na którym spali Karbowski i profesor. Wprawdzie posłanie przeschło, ale pozostała na nim zdradziecka, wielka, żółta plama. Nadolny z miejsca zwrócił się do Stasia.

—To ty?

I nie czekając na odpowiedź, uderzył chłopca w twarz. Profesor, dusząc się kaszlem, chciał coś powiedzieć, ale Nadolny odsunął go na bok ramieniem i nie spuszczając ze Stasia swoich jasnych, prawie przeźroczystych oczu, powiedział:

—Od dzisiaj, gówniarzu, ty będziesz odpowiadał za siennik, rozumiesz?

Staś milczał, ciągle wyprostowany na baczność i chociaż wiedział, że *Untercapo* nie lubi, gdy patrzy mu się zbyt długo w oczy, nie odrywał spojrzenia od tej chmurnej twarzy, tak blisko ku niemu pochylonej, iż czuł na wargach ciepły, nikotyną przesycony oddech tamtego. — Uderzy mnie zaraz — pomyślał. Było mu wszystko jedno. I nawet nie drgnął, gdy tępy ból przeszył mu głowę od lewego ucha aż po głąb czaszki. Pociemniało mu tylko w oczach i nagle ogarnął go gęsty, prawie bezgłośny szum.

—Rozumiesz? — powtórzył Nadolny, przysuwając się jeszcze bliżej.

—Tak — odpowiedział Staś, pokonując wysiłek, na jaki musiał się zdobyć, aby otworzyć usta i z głębi tego szumu wydźwignąć swój głos.

—Zadowolony jesteś?

—Tak — powtórzył Staś ciszej i niewyraźnie, ledwie siebie słysząc.

Oprzytomniał dopiero wówczas, kiedy znalazł się na dworze w mglistym, chłodnym powietrzu ranka i gdy doczekawszy się swojej kolejki przy pompie, począł oblewać się zimną wodą.

Biały, oślepiający blask reflektorów jak zawsze nadawał obozowi wygląd ogromnego filmowego atelier, gdzie wśród dziwacznych, jakby z mrocznego snu przeniesionych dekoracyj, plączą się tłumy statystów, przygotowujących się do odegrania jakiejś wielkiej sceny zbiorowej cierpienia i buntu. Na środku placu stała wczorajsza estrada. Osamotniona wśród pustego obszaru, pomiędzy rzędami ceglastych bloków, wyglądała bardzo drobna i krucha.

Odchodząc od pompy, Staś natknął się na profesora, który stał nieco z boku, skulony w przykrótkim drelichu, dygocący z zimna i z kaszlu. Zamierzał go ominąć, gdy tamten uczynił ręką niepewny ruch. Przystanął więc. Widać było, że profesor ma coś do powiedzenia, lecz kaszel nie pozwala mu przyjść do słowa. Trwało to dosyć długo. Tymczasem wielu więźniów zdążyło się już umyć i koło kuchni poczynał gromadzić się tłum. Wydawano śniadanie. Na koniec profesor przycichł, podniósł na towarzysza swoje śmiertelnie znużone oczy i wyszeptał:

—To przeze mnie . . . — I chwycił Stasła za rękę. — Niech mi Pan wybaczy.

Znowu począł kaszleć. Naraz wzdłuż cienkiego drelichu jego spodni spłynęło na ziemię dużo mokrego, pomiędzy nogami stojącego utworzyła się kałużka.

—Tak — bąknął Staś, spoglądając w stronę kuchni — to się samo przez się rozumie, tutaj nikt nikomu nie ma nic do wybaczenia, wszystko jest, jak jest.

—Nie, nie — zaprzeczył słabo profesor — dopiero tutaj potrzebuje się przebaczenia.

Dokoła kuchni ciemniał tłok. Nagle Staś zwrócił się ku profesorowi i powiedział z twardym akcentem, którego nie chciał:

—Może, ale nie trzeba o tym mówić, to jest albo tego nie ma.

Profesor pochylił głowę i patrzył w ziemię. Z jego spodni skapywały ostatnie krople. Wtem z powrotem podniósł ku chłopcu oczy nagle odmienione, rozjaśnione żarliwym pragniemiem życia.

—Mnie zwolnią niedługo — szepnął rzeźwiejszym głosem — przyjdzie zwolnienie, na pewno, czuję to . . .

Rzeczywiście coś tak wyglądało, że profesorowi przypadnie w losie ta niezwykła wygrana. Na razie otrzymał wygraną mniejszą. Oto, gdy po apelu, według codziennego porządku formować się poczęły drużyny robocze, profesora zwolniono niespodziewanie z obsługi, ciągnącej maszynę do walcowania, a przydzielono go do pracy lżejszej, polegającej na rozwalaniu kilkunastu domków na przedmieściach miasteczka. Domy te psuły komendantowi obozu piękny widok z okien jego mieszkania, zostały więc przed kilku dniami opróżnione z dotychczasowych mieszkańców i przeznaczone na rozbiórkę. Praca była właśnie w toku i miała w obozie opinię nienajgorszej, ponieważ odbywała się pod częściową osłoną dachów i murów, a dozorujący *Capo* należał do mniej bezwzględnych i okrutnych.

Opowiadanie przysłane z Kraju. Opisane zdarzenia i przytoczone nazwiska — są prawdziwe.

Z generałem Andersem w Niemczech (II):

Na ruinach Wilhelmshaven

Tym razem jest naprawdę "jak w Polsce". Porównanie tylokrotnie w ciągu przeszło pięciu lat plątania się po ziemiach obcych używane i nadużywane, z bardzo częściowym tylko, a czasem i bez żadnego uzasadnienia, znajduje tu, w rejonie Wilhelmshaven swój pełny wyraz. Stanowi to równocześnie złośliwy figiel losu, oczywiste szyderstwo w naszym kierunku. Bo przecież na ziemi francuskiej, szkockiej, włoskiej, holenderskiej, czy belgijskiej, w krajach co najmniej nam przychylnych, a często i przyjaznych nie zjawiała się Polska tak wyraźnie, tak bardzo naturalnie, jak na wrogim i zdobycznym terytorium niemieckim.

Rozciągnięte na dziesiątki mil lasy sosnowe, wzdłuż których jadą nasze wozy, przypominają fragmenty nalibockiej czy kampinowskiej puszczy. Pod wieczór gorącego dnia upał siada na ziemi i wydusza z drzew cały ich zapach żywiczny, ostry i przejmujący. Na łąkach, wypadających z lasu długimi, kończącymi się dopiero horyzontem klinami, rozkłada się wieczorny, sentymentalny zmrok. Krowy podłażą pod sam skraj drogi i wyciągając głowy ku górze, ryczą jękliwymi basami. Tu i ówdzie niezgrabnie i ciężko skaczą spętane konie. Przed ogródkami niewielkich i miłych domów wiejskich dzieci rysują kredą na ziemi jakieś znaki i prostokąty, a później, podskakując na jednej nodze, śmieją się i chichocą między sobą.

—Zupełnie, jakby grały w "klasy" — łapię się na zabawnej refleksji.

Ale potem powraca świadomość, że te lasy i łąki, krowy i konie, zapach żywicy i gra dzieci, że to wszystko dokoła jest niemieckie. Że cała ta sielanka jest złudzeniem, że różnie może nastrajać, ale nie ma prawa ani rozczulać, ani już chyba najmniej . . . przypominać Kraju.

Właśnie jednak wpadamy w małe miasteczko. W oknach domów zczerniałym złotem odbija się słońce, a przy pierwszej z brzegu willi wykwita duży krzak liliowego bzu.

Miasteczko niemieckie jest liliowe od bzów. Czerwieni się plamami róż przy oknach domów i bieli się na skwerach astrami. Mieszkańcy wyglądają dostatnio i mają miny ludzi, którym życie układa się co najmniej pogodnie, jeśli nawet nie beztrosko. Gruby facet, którego mijamy na rogu wąskiej ulicy ma dobrze odprasowane ubranie, czerwony nos i solidnie wypchaną fajkę w zębach. Gdy odwraca się, widzę go, jak uprzejmie — niedbałym ruchem podnosi trzy palce do kapelusza. Zobaczył jadący za nami samochód p.o. Naczelnego Wodza z proporczykiem i czyni w ten sposób gest wstrzemięźliwego powitania. Wygląda to nieomal pobłażliwie: — Dobrze, dobrze, jak już tu jesteście, to zostańcie. Ja osobiście nie mam nic przeciw temu . . .

Jakby na przekór tej oględnej gościnności, upominają ze słupów duże napisy: *"Na fraternising"*. Zakaz bratania się ma położyć granicę nie do przebycia, przeszkodę nie do pokonania pomiędzy zwycięzcami, a zwyciężonymi. Ma przekreślić łudzące podobieństwo tego kraju do Kraju innego, o którym wciąż się myśli. Ma uczynić ludzi "tutejszych" przezroczystymi, jakby ze szkła tak, aby ich można było nie dostrzegać. Ma stworzyć na jednym, na tym samym terytorium, dwa zupełnie odrębne, nigdy ze sobą nie zahaczające się systemy życia: Niemców i nasz. Czy to jest możliwe?

Kierowca wozu umiarkowanie wyraża nadzieję, że tak. Twierdzi nawet, że *"No fraternising"* jest zakazem popularnym, że nie trzeba groźby kar, aby był przestrzegany.

—Zato ci Niemcy witają nas z entuzjazmem — mówię wskazując na grupę cywilów, którzy wyszli z przydrożnej fermy i machają ku nam kapeluszami.

—To nie Niemcy, to są Polacy, których osiedlono przymusowo na miejscowych gospodarstwach, jako robotników rolnych — wyjaśnia kierowca.

Rzeczywiście, gdy ich mijamy, staje się dla nas oczywiste, że to nie są Niemcy. Twarze mają chude, ziemiste i zapadnięte. Ubrania nędzne i zniszczone. Na nogach zamiast butów — duże sandały. Co za kontrast z niedawno mijanymi tubylcami! Tamte twarze były okrągłe, czerwone, zadowolone z siebie. Tamta młodzież, kilkunastoletnie dziewczyny i chłopcy, może być wzorem dla eugeników całego świata — zgrabna, wysportowana, świetnie odżywiona, stanowi nieomal ideał fizycznej kondycji. Polskie dzieci, które tutaj stanęły przy starszych, są bose i blade.

Bez dłuższych opisów i rozmów można wywnioskować, że im ta ziemia, tak bardzo do Polski podobna, wcale i nigdy nie przypominała ojczystej. Że bogactwo, które aż tryska z doskonale zagospodarowanych folwarków, że zamożność i wygoda miasteczek, że dostatek i dobrobyt wszystkiego, co tu jest dokoła, nie spływały ku nim najmniejszym nawet strumieniem, że nie spadały najdrobniejszym chociażby okruchem jałmużny dla nędzarza.

"NIEMCY PLUJĄ NA PORTRETY HITLERA"

Na drugi dzień przy wjeździe do Wilhelmshaven melduje się gen. Andersowi komendant miasta pułkownik Grudziński. Trochę dalej, na placu utworzonym przez bomby, zasłanym gruzami, belkami i szkłem, stoją oddziały 2-go pułku pancernego. Generał Anders odbiera raport, wita się z żołnierzami. Dzień jest, dla odmiany pochmurny i to stanowi także swoisty symbol. Tak zapewne jesienią 1939 roku, gdy skończyła się wspaniała i przeklęta wrześniowa pogoda musiały wyglądać popisy niemieckiego zwycięstwa w Polsce. Też były gruzy i też stał triumfujący żołnierz . . .

Generał Anders jedzie dalej. Drogę wytyczają polskie, biało czerwone flagi. Jedna za drugą, długimi szpalerami, przez resztki wszystkich ulic. Nie można ich było umocować na ścianach domów, na balkonach i dachach, śródmieście bowiem Wilhelmshaven nie ma już domów, balkanów, dachów, ścian. Flagi powiewają więc na małych masztach, wbitych w chodniki uliczne.

Wilhelmshaven stanowi przykład dobrej, przyzwoitej roboty bombowców. Wojna inwazyjna, lądowa nie zdążyła tu dojść, zajrzała tylko oczami zwycięzców, przyjmujących kapitulację. Bombowce jednak nalatały się solidnie. Jedynymi fragmentami miejscowej architektury, które zdołały ocaleć, są wysokie schrony.

Po ulicach plączą się Niemcy, ale trochę inni, niż wczoraj. Spokorniali, ponurzy, bez uśmiechu. Czasem w grupie ludzkiej odkryje się jakaś głowa, czasem znowu ktoś przystanie, patrząc niechętnie na jadące wozy. Rowerzyści uciekają z jezdni. Młode kobiety wysuwają się na brzeg chodnika i starają się wątłymi uśmiechami zamanifestować swe przyjazne uczucia.

—Niemcy przeważnie wyłażą ze skóry, aby przekształcić się na gościnnych gospodarzy — opowiadają mi koledzy z Pierwszej Dywizji Pancernej. — Nie pomijają żadnej okazji, aby nam się przypodobać. Nie chcą za nic brać pieniędzy. Przeklinają nazistów, plują na portrety Hitlera . . .

ZAMARŁY PORT I CMENTARZ OKRĘTÓW

Na molo portu wita generała Andersa brytyjski admirał, grono oficerów *Royal Navy* i oddział honorowy marynarki J. K. Mości. Obok czeka łódź motorowa dowódcy bazy, na której trzepocze się polska bandera. Ruszamy na objazd portu.

Zatoka portu Wilhelmshaven jest długa, wąska i dlatego bardziej przypomina jezioro, niż morze. Silny wiatr rzuca szerokie bryzgi wody na pokład, na mundury, na twarze. Motorówka ostro skręca na wirażach, czasem zaś znowu gwałtownie zwalnia biegu.

—Trzeba uważać — oświadcza komandor Condor, R.N. — dno jest usiane wrakami.

Przedwcześnie jest dziś oceniać ilość niemieckich jednostek morskich, które zatopiono w zatoce portu Wilhelmshaven. W każdym razie była to duża część marynarki Rzeszy. Z dna na powierzchnię wody wyłażą gęsto, czasem jedne po drugich wierzchołki kominów, lub metalowe wiązania okrętów. Przy molo wyzierają ściany kadłubów. Bomby wbiły w wodę dźwigi, żurawie, urządzenie portowe. Ostra fala, podrzucając naszą motorówkę, podrzuca również kłębowisko desek, resztki skrzyń, pokrywy od czegoś, co już nie istnieje i niezliczone masy złomu z rzeczy, które już nigdy nie wrócą do czynnego życia. Duże cmentarzysko okrętów. Zamarły port.

—A przecież — mówimy sobie — był to największy port wojenny Trzeciej Rzeszy.

—Czy to wszystko da się jeszcze odbudować? — pytam komandora Condora.

—W zasadzie nie istnieje nic, czego by się nie dało odbudować — odpowiada mi komandor, a potem przeciąga rękę po ogorzałym, wysokim czole, szukając argumentów do sformułowania swych zastrzeżeń. — Oczywiście, można odbudować, ale . . . czy się opłaci? Narazie Wilhelmshaven pozostanie dla nas tylko bazą. Co będzie dalej, zobaczymy.

Motorówka przybija do pokładu dużego okrętu. Jest to ciężki krążownik "Köln". Wydobyto go przed kilku dniami z dna portu. Pokład dotyka prawie powierzchni wody. Wszystko zresztą na tym okręcie ocieka jeszcze wodą, jest mokre, albo czerwone od rdzy. Lufy dział, wychylające się z dużej, obrotowej wieży, zwisają bezwładnie ku dołowi. Bariery, schody, poręcze są fantastycznie powyginane. Do wnętrza zejść nie można, bo również zalała je woda. Nie ulega wątpliwości, że z czego jak z czego, ale z "Köln'a" już nigdy i nic nie wyjdzie.

Jedziemy dalej. Na pokładzie jest coraz zimniej, a motorówka coraz mocniej przewala się z boku na bok. Schodzimy więc pod pokład, gdzie Brytyjczycy podejmują Generała — szampanem.

Nawiasem mówiąc, Wilhelmshaven stało się teraz "szampańskim miastem". W Paryżu nie ma szampana i nie ma go także w innych miastach Francji. W Niemczech jest coraz trudniejszy do dostania. Natomiast nieistniejąca stolica niemieckiej marynarki wojennej pławi się w najlepszych markach, z nieodzownym nadrukiem na etykiecie: *"Reservé à la Wehrmacht, Achat & Revente interdits"*. Jeden ze schronów w mieście był zawalony butelkami od podłogi do dachu. Wojsko sobie użyło niezgorzej a marynarka, rzecz prosta, stała się udziałowcem głównym i najważniejszym. Napewno w najlepszych nawet dniach niemieckiej *Grossflotte* nie zużyto tyle butelek szampana przy spuszczaniu na morze nowych jednostek, ile płynie go w tych czasach na ostatnią, pośmiertną i pogrzebową uroczystość. Na koniec i na stypę Wilhelmshaven, jego portu i jego okrętów.

W kajucie motorówki jest zacisznie i miło. Szampan syczy i burzy się w delikatnym, przezroczystym szkle. Na zewnątrz, w przerwach pomiędzy bryzgami fal, migają, czernią się i wystają z wody szczątki niemieckiej potęgi.

—Bardzo miły widok — mówi jeden z brytyjskich oficerów — i w ogóle dobrze się stało, że wreszcie już nadszedł *Victory Day*.

A my, Polacy, patrzymy na siebie w milczeniu. Niemcy są pokonane. To dobrze. Cieszymy się z tego ogromnie. Ale . . .

—Obyśmy mogli tak wrócić do Gdyni i do Gdańska — mówi generał Anders, ogarniając raz jeszcze wzrokiem, gdy wychodzimy na pokład, ruiny portu i zatoki.

KARIERA "DZIENNIKA ŻOŁNIERZA"

"Dziennik Żołnierza Pierwszej Dywizji Pancernej" nareszcie zrobił wielką, nieomal zawrotną karierę. Już nie tłoczy się w ciaśniutkich lokalach, nie gnieździ w cygańskich wozach, nie narzeka na brak prądu do linotypu, czy też na małą ilość matryc. "Dziennik Żołnierza" może dziś imponować niejednej prawdziwej, pokojowej, nawet londyńskiej redakcji. Zainstalował się w lokalu *"Wilhelmshavener Kurier"*, tutejszego organu partii hitlerowskiej. Pokoje redakcyjne są duże, jasne i wygodne. Monotonnie szemrze teleskryptor, cicho gra nowiuteńki aparat radiowy Telefunken. Dwie wcale, wcale przystojne blondynki, klepią szybkostrzelnie na maszynach i witają uprzejmym: *"Good day, Sir!"*

—Skądżeście wyfasowali te dwie ładne Angielski? — indaguję zdobywczą redakcję.

Więckowski uśmiecha się skromnie, a Or-Si oburza się na mój brak domyślności:

—Cóż znowu za Angielki, przecież to są dwie Niemki, które z własnej woli, słuchają biuletynów B.B.C. i później robią z nich dla nas streszczenia. Zresztą w ogóle cała ta eks-hitlerowska redakcja zanudza wciąż prośbami, aby pozwolić im na wydawanie w języku niemieckim pisma już nie tyle przychylnego, ile wręcz entuzjastycznego dla aliantów.

Gdy p.o. Naczelny Wódz wraz z generałami Maczkiem, Rudnickim, oraz innymi oficerami polskimi z Dywizji Pancernej i okręgu Wilhelmshaven zajeżdża do redakcji, czeka go, obok grono współpracowników, znowu ślad niemieckiej akcji rabunkowej: butelki francuskiego szampana.

—Może pan generał pozwoli, bo to przecież na naszym, zdobycznym terenie — melduje się z zaproszeniem redaktor "Dziennika".

Ale równocześnie plutonowy Goll, niegdyś drukarz warszawski, zachwala przed generałem drukarnię. Że sześć linotypów, że tempo, że rozmach. Generał więc idzie na górę, aby zobaczyć maszyny. Przy kasztach prężą się niemieccy zecerzy z wyrazami twarzy, które nic nie oznaczają. Generał chodzi od maszyny do maszyny, od formy do formy, słuchając uważnie wyjaśnień Golla i Wysockiego.

—Proszę panów, ja jestem też trochę redaktor — stwierdza z uśmiechem. — Zapytajcie o to naszych wspólnych kolegów z "Orła Białego". Niech oni wam powiedzą, jak to było w Rosji i na Bliskim Wschodzie i we Włoszech. No i zapytajcie też Rubla z "Dziennika Żołnierza A.P.W."

—Pan porucznik Rubel, melduję panie generale, zakładał przecież i nasz "Dziennik" jeszcze kiedyś w Szkocji. W czterdziestym roku — przypomina plutonowy Kazio Wysocki.

—No widzicie, jak daleko zaszliście — śmieje się Generał — ze Szkocji do Wilhelmshaven. Taki szmat drogi do Polski. Musimy wierzyć, że i resztę przebędziemy.

Na prośbę redakcji Dziennika pisze Generał na blankiecie "Wilhelmshavener Kurier" krótką dedykację:

"W stolicy marynarki niemieckiej, jako symbolu zwycięstwa wspaniałej Pierwszej Dywizji Pancernej, w marszu naszym żołnierskim do Gdyni i Gdańska, dziękuję "Dziennikowi Żołnierza", wiernemu towarzyszowi broni "Pancernych", za trud dla naszej Sprawy".

SPRAWIEDLIWOŚĆ . . . ZWYCIĘSTWO . . .

Przejście do wielkiej sali w gmachu dowództwa marynarki niemieckiej, gdzie drugi pułk pancerny podejmuje generała Andersa obiadem, prowadzi przez mały przedsionek. Kwadrat podłogi przedsionka zasłała całkowicie flaga hitlerowska. Każdy, kto wchodzi do sali, musi przekroczyć tę flagę i musi ją podeptać. Nawet, gdyby nie chciał. Ale my chcemy! Uczucia nasze, właśnie w tym byłym niemieckim dowództwie, domagają się satysfakcji, żądają drobnego chociażby zadośćuczynienia za wszystko, za wszystko co było. Zdeptana, zbrudzona pyłem nóg flaga jest pierwszym symbolem sprawiedliwości.

Drugim symbolem są barwne herby poszczególnych jednostek niemieckiej marynarki, wymalowane długimi rzędami na ścianach. Oto wszystko, co pozostało z "Grafa Von Spee", "Tirpitza", "Bismarcka", "Gneisenau'a", "Schanhorsta", "Kölna" i tylu innych, dumnych, złowróżbnych okrętów Rzeszy. A Wilhelmshaven zagląda przez okna do sali kikutami domów i wież.

Siedzący naprzeciw mnie przy stole młody, czarny podporucznik ma na sobie amerykańską kurtkę z polskimi gwiazdkami i ascetyczną, ziemistą twarz. Oficer Armii Krajowej. Opowiada o ostatnich dniach walk w Warszawie w czterdziestym czwartym roku.

—Już nie było domów w śródmieściu, tylko wszędzie łuny pożarów i masy ciemnego, gryzącego dymu. Okropny zaduch szedł od pogorzelisk i od ludzkich trupów, które leżały wszędzie. Wiedzieliśmy już wtedy, że musimy kapitulować. Ale wierzyliśmy, że to nie koniec, że jeszcze przyjdzie sprawiedliwość i że nadejdzie zwycięstwo.

. . . Że jeszcze przyjdzie sprawiedliwość . . . Że nadejdzie zwycięstwo . . . Patrzymy na człowieka z warszawskiego powstania i wiemy, że ani ta flaga, która leży w przedsionku, ani ruiny, które czernieją za oknem nie są jeszcze zwycięstwem i sprawiedliwością!

MAREK ŚWIĘCICKI

Fragment portu w Wilhelmshaven



Niemcy pod okupacją polską

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Wilhelmshaven w maju 1945 r.

Historyczna formuła brzmiała: *"W imieniu zwycięskich wojsk sojuszniczych oddziały 1 Dywizji Polskiej pod moim dowództwem obejmują władzę zwierzchnią nad obszarem twierdzy Wilhelmshaven. Wszystko od tej chwili przechodzi pod moje rozkazy!"* Słowa te wypowiedział pułkownik Antoni Grudziński do zgromadzonych u wylotu miasta Niemców. W rzędzie stali dowódca niemieckiego garnizonu, jego szef sztabu, prezydent policji, burmistrz. Czołgi drugiego pułku pancernego, kompanie batalionu "Krwawych Koszul", plutony saperów, oddziały łączności objęły w posiadanie miasto, twierdzę i port Wilhelmshaven.

Wokół szerokim promieniem rozłożyły się oddziały Dywizji Pancernej, zajmując miasteczka, wsie i osady, jako tymczasowy obszar okupacji polskiej. W ten sposób po sześciu prawie, ciężkich i zmiennych pod względem szczęścia latach stało się zadość sprawiedliwości, o którą chwyciliśmy za broń. Symbol wprawdzie nie został wypełniony do końca, nie dane nam było zająć tych ziem na wschodnim i północnym pograniczu Rzeszy, skąd wiecznie groziła nam zagłada, skąd ruszyła na nas ich agresja — tym niemniej serca żołnierskie przepojone były radością i dumą, gdy przejmowaliśmy Wilhelmshaven, kolebkę i największą bazę niemieckiej marynarki wojennej.

JAK REAGUJĄ NIEMCY?

Pierwsze wrażenie — to cisza. Kiedyś gdy Dywizja uwalniała północne okręgi Francji, gdy goniła nieprzyjaciela poprzez miasta i wsie belgijskie, jakaś wielka niewytłumaczalna "zmowa" dzieci stworzyła okrzyk wojenny, który na zawsze już chyba związany został z kronikami tej kampanii. Dzieci francuskie i dzieci belgijskie wybiegały naprzeciw czołgom i wozom pancernym, krzycząc: "*Cigarette pour papa*!" Żołnierzy intrygowała ta zagadka. Nie umiano sobie wytłumaczyć, jakim sposobem dzieci we wsi, która w tej chwili właśnie zostaje uwolniona od Niemców, już znały formułkę, którą powtarzały dzieci we wsi, uwolnionej poprzedniego wieczora. Zagadki nie rozwiązano, podchwyciły ją natomiast wszystkie zespoły teatrów żołnierskich i dziś "*Cigarette pour papa*" stanowi ulubiony "*gag*" Ensy.

Dzieci holenderskie okazały się bardziej bezinteresownie. Tu nas spotykało nowe przywitanie: *Good bye*! *Good bye*! Winę ponoszą niewątpliwie miejscowi pedagodzy, nauka języka angielskiego w Holandii wyraźnie szwankowała. Tym nie mniej żołnierze nie zrażali się tym "powitaniem" i nie przyjmowali go, jako żądania natychmiastowego wynoszenia się z dopiero co uwalnianych miejscowości.

I potem ta cisza. Dzieci niemieckie nas nie witają. Najpewniej tak im nakazali ich rodzice i opiekunowie, zrozumiawszy, że wszelkie okazywanie "dobrych chęci" za pośrednictwem dzieci nie da, nie może dać rezultatów.

Niemcy więc dzielą się na trzy grupy. Są jeszcze nieliczni, którzy z uporem starają się wkraść w nasze łaski. Uśmiechają się, salutują, pozdrawiają, schodzą z drogi. Były już wypadki wyrażania "radości", że to właśnie "rycerscy Polacy" a nie "obcy i nieznani Kanadyjczycy".

Druga grupa też schodzi z drogi, ale przyczyny dobrych manier są inne. To grupa zastraszonych, żyjących w ciągłej obawie przed zemstą "krwiożerczych, mściwych, dzikich Polaków". Ci schodzą z chodnika na widok munduru — zgodnie zresztą z "ich" regulaminem, ci stają nieustannie na baczność, wykonywują na skinienie każdy rozkaz. Są grzeczni, poprawni, posłuszni, ale oczy ich ciągle biegają rozpaczliwie, węsząc niebezpieczeństwo.

Trzecia grupa jest najliczniejsza: Niemcy, którzy nas nie widzą. Idą jak cienie, nie odwracając wzroku. Nie kłaniają się, nie zwracają żadnej uwagi, nie reagują. To nie jest pycha, to nie jest żądza jakiegoś odwetu, duszona pod maską obojętności. To jest całkiem po prostu odrętwienie, apatia, zmęczenie, rozpacz. To nie przedstawiciele pokonanego narodu, który poniósł największą klęskę na przestrzeni historii — to są ludzie, którzy stracili rodziny, dach nad głową, zajęcie. Którzy nie mają co jeść i nie wiedzą, co ich czeka.

JAK REAGUJĄ POLACY?

Od pierwszych chwil naszego lądowania na plażach Normandii ciągnęła się i ciągnie za nami legenda, przedstawiająca żołnierza polskiego, jako dzikusa z nożem w zębach. O tej legendzie pisali już inni na tych łamach, podkreślając jej szkodliwość. Tym nie mniej trwą ona nadal wśród naszych sojuszników. Dowcip o wielkim zdarzeniu w polskiej dywizji — "podobno wzięli dziś do niewoli jednego Niemca" — nie starzeje się.

To też gdy tylko się wieść rozniosła, że Polacy zajęli Wilhelmshaven, tłumy korespondentów wojennych zaczęły zjeżdżać do miasta, aby zobaczyć na własne oczy, jak wygląda taka "powszechna rzeź Niemców". Znaleźli tylko idealny porządek. Rządy bardzo twarde, ale bardzo sprawiedliwe. Żądania może trudne, ale logiczne. Gdy gen. Anders przyjechał do Dywizji i miał na drugi dzień rano zwiedzić twierdzę i port w Wilhelmshaven, polski dowódca miasta zawezwał burmistrza i kazał mu przystroić miasto flagami polskiemi "w identycznych rozmiarach, w jakich przystrajano miasto za czasów, gdy niemiecki naczelny wódz zjeżdżał tu na inspekcję". Burmistrz tłumaczył się, że nie posiada polskich flag i że ma tylko 12 godzin czasu. "Nie umiano" mu poradzić. Nazajutrz jednak cała trasa przejazdu udekorowana była flagami polskimi. Powiewały one z wysokich masztów zatkniętych w odległości co 50 metrów — domów nie można było udekorować, jako że ich nie ma w dostatecznej ilości.

Jak reagują Polacy? Odpowiedź jest bardzo trudna, bo reakcje są też trudne. Jedno jest pewne — Niemcom udało się! W innych okolicznościach, na tle innych warunków politycznych, wkroczenie wojsk polskich do Rzeszy i okupacja wojskowa połączona byłaby z tak wielkimi, radosnymi przeżyciami wewnętrznymi, że siłą rzeczy połączone byłyby one z takimi lub innymi ekscesami. To byłoby nieuniknione. To byłby szał radości. To byłby koniec wojny. Zwycięstwo, powrót do domów!

Nie ma na to wszystko dziś miejsca. Odwrotnie, w duszach żołnierskich rozsiadło się nowe, przykre uczucie pustki. Póki trwała akcja, grały nerwy. Mówiono sobie — jeszcze walczymy, jeszcze nie koniec, jeszcze nastąpić może tyle nieprzewidzianych odmian, niespodzianek, zwrotów. Dziś nerwy się rozprężyły. Zamiast wysiłków i niebezpieczeństw przychodzi spokój życia prawie że garnizonowego. Jest więcej czasu na czytanie, na myślenie, na rozpamiętywanie. Jest więcej miejsca na natrętne pytania, na które coraz trudniej dać odpowiedź.

Niemcom udało się! Problem niemiecki niknie, rozpływa się. Zostali zwyciężeni, rozbici, zniszczeni. Trzeba ich pilnować, trzeba nimi rządzić, ale nie można już w to wkładać "serca".

BARTKI — ZWYCIĘZCY

Ten stan myślowy, ten podział opinii i różnorodność reakcji najlepiej chyba obrazuje dyskusja, jaka rozgorzała na łamach dywizyjnego "Dziennika Żołnierza". Ktoś nadesłał do redakcji list otwarty p.t. "Bartki-zwycięzcy", w którym z gorzką ironią wytyka łagodność polskiej okupacji. W liście czytamy między innymi:

"Żołnierz nasz nauczony jest trudów. Pocóż więc zabierać Niemcom pościel i łóżka, do których przywykli? Wytrzepiemy z koców kurz normandzki, ułożymy się na wozie lub na podłodze . . . Łazienka? to krępujące dla nich — poczekamy na łaźnię polową . . . Kopać latryny. Kazać je budować Niemcom? Jakoś na myśl nie przyszło . . . Na ulicy pozdrawia mnie po polsku cywil z biało-czerwoną wstążeczką, którą przykrył kwadracik po odprutej wczoraj szmatce z literą "P." Pracował tu od 4 lat. Żona i córka jako służące. Panie — mówi mi — idąc ulicą, broń Boże chodnikiem, niosło się czapkę w ręku, trzeba się było ciągle kłaniać. Dobrze, że pozwolili nam spać w stodole. Inni mieli gorzej. A co z dziewczętami wyprawiali! . . . Odszedłem tłumiąc złość. Oczywiście kłamał. Kłamał bezwstydnie! Tak, jak kłamały od sześciu lat nasze pisma, raporty, jeńcy, uchodźcy, obserwatorzy. Nie było obozów koncentracyjnych, nie było porywań do burdelów, sterylizacji, rozstrzeliwań, wywożeń, palenia, niszczenia, bicia i poniewierania! . . . Naśladować ich w tym, odpłacić tym samym, równałoby się zejściem do nieosiągalnych dla nas nizin zezwierzęcenia. A więc zapomnieć? Nie, zapomnieć nam nie wolno!"

List ten wywołał istną burzę w Dywizji. Posypały się odpowiedzi ze wszystkich stron, odpowiedzi, reprezentujące krańcowo różne poglądy na temat traktowania Niemców.

"*Jestem naprawdę oburzony* — pisze jeden z czytelników — *na artykuł tego pana, nawołujący żołnierzy, aby spadli do stanu bydlęcego, równego chyba hitlerowcom. Żal, że nie pozwolono mu rabować bezkarnie . . . rozpacz, że nie może pastwić się i wyżyć nad niemieckim inteligentem swego kompleksu niższości, charakteryzuje go dostatecznie . . .*"

"*O co mu się rozchodzi? . . .* — pisze inny — *kto jemu mówił, że nie było obozów koncentracyjnych i innych okropności? . . . Nie tym się Niemcom odpłacimy, że go wyrzucimy z jego betów — tu trzeba głębiej sięgnąć. Nie kompoty zabierać, ale przemysł, żeby potworowi kły nie odrosły!*"

Przyszły i inne głosy, solidaryzujące się z autorem listu, dowodzące, że do Niemców można przemawiać jedynie ich własnym językiem, językiem siły i brutalności. Dyskusja się rozszerza, obejmuje coraz większą ilość żołnierzy. Istotnie temat to najbardziej aktualny, szeroko wykraczający poza ramy Dywizji, poza ramy polskie. Temat, który dziś może stać się decydującym, jeśli chodzi o utrzymanie jeszcze jakich takich pozorów zgodności postępowania sojuszników wobec pokonanych Niemców.

Jakże dobrze wiedzą o tym Niemcy! Zaczepiłem kiedyś na ulicy miasteczka niemieckiego *feldfebla*. Odpowiada mi na wszystkie zadane mu pytania, a potem prosi, czy może mnie o coś zapytać. Chciałby mianowicie wiedzieć, czy linie demarkacyjne okupacji są już definitywnie ustalone. Ma rodzinę w Wiedniu i nie wie, czy będzie mógł do niej kiedyś wrócić, bo tam przecież okupacja sowiecka. — "Nie pytam dlatego — mówi bez zmrużenia oka — abym przypuszczał, że Alianci nie mogą się z Rosjanami porozumieć, lecz chodzi mi jedynie o to, czy będzie można przejść z jednej strony na drugą".

Na szczęście w tej chwili mój *jeep* ruszył.

NIE BRATAJCIE SIĘ Z NIEMKAMI!

Tak właściwie powinny brzmieć hasła ostrzegające. Władze sojusznicze szeroko propagują zasadę, aby żołnierze zachowywali się w Niemczech, jak zwycięzcy wobec zwyciężonych. Jeśli chodzi o oddziały polskie, to akcja ta jest zbyteczna. Polaków nie trzeba namawiać, nie trzeba im tłumaczyć, że Niemcy byli, są i będą zasadniczymi, nieprzejednanymi wrogami narodu polskiego. Tablice ostrzegawcze, przypominające wszystkie zbrodnie niemieckie, są właściwie niepotrzebne.

Powstaje jednak i narasta nowy problem — powiedzmy to sobie bez obłudy — problem kobiet. Życie tu jest ciężkie. Zdaleka od miejsc urlopowych, wśród ruin i obcej, wrogiej ludności, bez rozrywek, bez książek, bez towarzystwa. Wszystko jest w porządku, gdy trwa to dnie i tygodnie, gorzej gdyby miało zapowiadać się na miesiące i . . . dłużej. Wszystko to może sprawić, że atmosfera nieprzejednania może powoli zacząć łagodnieć, zwłaszcza, że przedstawicielki pobitej Rzeszy są jak najdalsze od okazywania zwycięzcom takich uczuć, jak pogarda, nienawiść, złość czy wstręt. To też władze sojusznicze na gwałt przygotowują szeroko pomyślane środki zaradcze.

Narazie jednak obowiązuje zasada: "*No fraternizing*! "Dziennik Żołnierza" wystąpił nawet z inicjatywą konkursu na najlepszy dwuwiersz, tłumaczący niestosowność robienia wyjątków od zasady niebratania się, a zawsze pełna werwy przyjaciółka nasza, Diana Tauber, która od szeregu miesięcy pracuje na terenie Dywizji, opiekując się rannymi żołnierzami, postawiła sprawę najprościej, kując powiedzonko, które uznane zostało za najlepszy dowcip "sezonu Wilhelmshaven": Nie ma bratania! Jedynie bezwarunkowe poddanie!

O SZYBKĄ POMOC POLAKOM

Na terenach Dywizji lub w stosunkowo bliskim jej zasięgu znajdowało się 51 obozów koncentracyjnych, jenieckich lub dla deportowanych robotników. Wśród mieszkańców tych obozów przebywały tysiące Polaków. Część ich mieszka obecnie indywidualnie, część, jak byli jeńcy, w dalszym ciągu pozostaje w dawnych obozach. Żołnierze nasi w miarę swych możności opiekują się rodakami, dostarczając im żywność i zapewniając opiekę lekarską. Istnieją plany, aby tych wszystkich polskich wysiedleńców, którzy przede wszystkim i ponad wszystko potrzebują spokoju i wypoczynku, przenieść na tereny, które będę okupowane przez wojska polskie. W ten sposób dałoby się utworzyć pewną polską bazę ludnościową i dać ludziom podstawy do egzystencji.

To jest niezbędne i szybkość działania nieodzowna. Ludzie, którzy w ciągu kilku lat przechodzili piekło niewolniczego życia, mają dziś prawo do minimalnych choćby wygód. Muszą odczuć, że nadeszła chwila zakończenia ich udręki. Ale muszą to odczuć nie tylko moralnie, ale i fizycznie. Każdy inny stan, choćby najbardziej prowizoryczny i krótkotrwały, stwarza jedynie słuszną gorycz i rodzi zwątpienie, a my na gorycz i zwątpienie po prostu dziś nie możemy sobie pozwolić. Praca to olbrzymia i przerastająca możliwości i zadania Dywizji Pancernej.

Trzeba zebrać z dróg i szos niemieckich te niekończące się chyba nigdy korowody Polaków, którzy idą wciąż naprzód, wciąż na zachód, szukając jakiegoś celu, któryby zakończył ich wędrówkę. Trzeba zorganizować te wszystkie grupy młodych chłopców, dzieci często, które idą przez Europę w poszukiwaniu polskiego wojska. Trzeba zapewnić pomoc kobietom i dać mleko małym dzieciom, trzeba wszystko to zebrać i uporządkować i zapewnić możność życia.

Ta praca już się rozpoczęła, ale niestety ogrom problemu przerasta, jak dotąd, nasze możliwości, a czasem — w oderwanych wypadkach — nasze umiejętności. Jakże ciężko jest zapomnieć naszym biurokratom o metrykach urodzenia, świadectwach ślubu, książeczkach wojskowych i innych świętościach. Niedopuszczalny jest stan taki, na jaki niestety natrafić można, aby brak dokumentu i świętej pieczęci dyskwalifikował Polaka w oczach wielkorządcy z obozu tranzytowego. Ci odtrąceni idą gdzieindziej i przyjmowani są tam z otwartymi rękami. O tym zapominać nie wolno!

Czeka nas jeszcze ogrom pracy, ale jakże wielkiej i szczytnej. Odzyskania setek tysięcy rodaków.

MACIEJ FELDHUZEN

Dziennik Żołnierza 1. Dywizji Pancernej — WILHELMSHAVEN — Środa, dnia 16 maja 1945 — Rok VI. — Nr 118 (267)

Nagłówek pisma codziennego, które towarzyszyło żołnierzom Dywizji w ciągu całej kampanii europejskiej i przez kilka tygodni wraz z nimi "okupowało" rejon Wilhelmshaven

Tu było kiedyś miasto Wilhelmshaven



Polska pod okupacją sowiecką

PIERŚCIEŃ PRZECIĘTY NA PÓŁ . . .

—Tydzień po Wielkanocy byłem jeszcze w Krakowie — rzekł do mnie łamaną polszczyzną podoficer brytyjski wyższego stopnia, którego przedstawili mi znajomi Anglicy.

—Doprawdy? pytam. — Jakże tam ludzie żyją? Proszę opowiadać o wszystkim, co Pan widział! Długo pan był w Polsce? — Zasypałem go chaotycznymi pytaniami.

—*Let us remember* — zaczął znów po angielsku mój rozmówca. — Tak w drugim tygodniu po Wielkiejnocy byłem w Krakowie. Wyjechałem stamtąd 9 kwietnia i razem z innymi jeńcami przez Odessę dostałem się tutaj.

Widząc, że notuję jego opowiadanie, Brytyjczyk zamyślił się, dłuższą chwilę milczał, poczem znów zaczął mówić spokojnie, ważąc każde słowo. Mówiliśmy dalej po angielsku, lecz John /tak będę odtąd nazywał mego rozmówcę/ co chwilę wtrącał słowa polskie, najczęściej słowo "A.K." na oznaczenie Armii Krajowej, a także słowa niemieckie.

—Nie wszystko, co ci powiem, nadaje się do druku. To znaczy, chciałbym cię prosić, abyś nie podawał wszystkich szczegółów . . . ze względów na bezpieczeństwo moich przyjaciół, którzy pozostali w Polsce. Abyś mnie dobrze zrozumiał, opowiem ci moją osobistą historię, moje osobiste przeżycia z dość długiego okresu mego pobytu w Polsce . . .

Nie bardzo rozumiałem o co mu chodzi, to też zdumiałem się jeszcze bardziej, gdy John zaczął mocować się z pierścionkiem i zdjąwszy go wreszcie, wręczył mi go:

—Widzisz ten pierścionek? Kupiłem go od Niemca, za butelkę "sznapsa" i trochę czekolady oraz herbaty. Złota obrączka ślubna. Przeciąłem ją na pół. I to jest mój pierścionek zaręczynowy. I będzie obrączką ślubną. Drugą połowę nosi moja narzeczona w Polsce . . .

PIERWSZE KONTAKTY Z A.K.

—Od października 1943 roku zostałem przeniesiony z moim obozem jenieckim na teren Polski. Do niewoli dostałem się prawie pięć lat temu w Afryce, w czasie pierwszej ofensywy Rommla. Specjalnie w tym celu, aby pozyskać zaufanie Niemców, aby móc pomagać swoim, zaraz zacząłem uczyć się niemieckiego. I cel swój osiągnąłem. Zrobili mnie "mężem zaufania" i jako taki byłem w stanie choćby tylko dopilnowywać, aby wszystkie paczki z Czerwonego Krzyża docierały do jeńców, zbierałem wiadomości, mieliśmy nawet własne radio.

—Było to tak: gdy znaleźliśmy się w Polsce, ludność cała, bez wyjątku, odnosiła się do nas bardzo serdecznie. W krótkim czasie nawiązaliśmy kontakt. Nie mogę wyjawić jak to nastąpiło, powiem tylko tyle, że były to kontakty listowe i osobiste. Żołnierze Armii Krajowej operowali w okolicznych lasach. Mieli tam swoje kryjówki i stałe kwatery. Niemcy nigdy nie zapuszczali się tam, bo zazwyczaj stamtąd nie wracali.

—Po pewnym czasie, gdy żołnierze z A.K. nabrali do mnie zaufania, zwracali się do mnie o różne przysługi i informacje. M.in. zażądali kiedyś ode mnie *battle-dress'ów*. Nie pytałem do jakiego celu są im potrzebne *battle-dressy*, ale parę kompletów im dostarczyłem. Po przeniesieniu naszego obozu do Polski — nie mieliśmy w obozie radia, t.zn. własnego radia. Powiedziałem raz o tym moim przyjaciołom z A.K. i po tygodniu, na uprzednio umówionym spotkaniu wręczyli mi domowej roboty radio — jako podarunek od A.K. dla jeńców brytyjskich.

—W okolicy naszego obozu mieliśmy sporo alarmów, to znaczy alarmowane były oddziały niemieckie i nawet straż naszego obozu, co miało związek z działalnością, A.K. Gdy mianowicie zaczęła się ofensywa armii sowieckiej, Armia Krajowa podjęła akcję sabotażową na wielką skalę. Wykolejano transporty kolejowe do i z frontu, napadano na oddziały wojskowe, na magazyny i składy, podpalano je, przecinano linie telefoniczne i wysokiego napięcia i t.d. To wszystko ustało, gdy przyszli Rosjanie. W tym okresie Niemcy mieli — jak sami mi się zwierzali w obozie — bardzo ciężki żywot. "Bardziej — mówili — daje nam się we znaki ta przeklęta armia podziemna, niż nieprzyjaciel na froncie, bo nigdy niewiadomo skąd i kiedy spadnie na nas uderzenie". To też Niemcy robili obławy, ale A.K. działała, bo wszędzie wówczas cała polska ludność wierzyła, że Rosja, zgodnie z tym co głosił Stalin, przynosi im oswobodzenie.

UCIECZKA Z OBOZU I SCHRONIENIE U POLAKÓW

John obawiał się, że Niemcy, wobec postępów ofensywy sowieckiej, z powrotem przeniosą ich obóz w głąb Niemiec. Postanowił uciec z obozu. Porozumiał się więc ze swoimi przyjaciółmi z Armii Krajowej.

—Dnia 19 stycznia tego roku — opowiadał dalej John — uciekłem z obozu i udałem się do moich polskich przyjaciół. Przez krótki czas umieszczono mnie w kryjówce w lesie, potem, pewnej nocy "przeniosłem" się do domu, gdzie mnie ulokowano w piwnicy.

—Nie wiedziałem, że miałem Niemców dosłownie nad głową. W tej miejscowości, ponieważ front błyskawicznie się zbliżał, panowało ogromne zamieszanie. Wszyscy Niemcy cywilni i *Volksdeutsche* — uciekali. Do naszego domu wprowadzili się żołnierze niemieccy. Całe szczęście, że nie wpadło im do głowy zajrzeć do piwnicy. Gdybym mógł był to przewidzieć, nigdybym się nie zgodził, aby moi opiekunowie tyle dla mnie ryzykowali. Niewątpliwie wszystkich by wystrzelano. Przez moje okienko w piwnicy widziałem, jak Niemcy strzelali do ludności cywilnej. Jednego Polaka na moich oczach Niemcy bez sądu rozstrzelali. Za co? — Bóg raczy wiedzieć . . .

—Całe osiem dni przesiedziałem w tej piwnicy. Moi opiekunowie pokryjomu przynosili mi jedzenie. W końcu Niemcy uciekli i wojna przeszła przez naszą miejscowość. Przyszli żołnierze Armii Czerwonej. Przyznać muszę, że oczekiwałem ich z dużym zainteresowaniem.

—Jakże ludność przyjęła wkraczające wojska sowieckie? — zapytałem.

—Na ogół ludność witała ich wejście radośnie, bo przecież nareszcie pozbyła się znienawidzonego okupanta niemieckiego. Ale była to radość bardzo krótkotrwała. Zaraz po wejściu, zwycięscy żołnierze przystąpili do metodycznego . . . rabowania resztek tego, co Niemcy raczyli zostawić.

RABUNKI I GŁÓD

—Jakto: rabowania?!? Gdzie, jak, kogo rabowali? — pytam niedowierzająco.

—Dosłownie: wszędzie, wszystko i wszystkich; żywność, ubrania i sklepy, jak również domy prywatne. Nawet mnie nie oszczędzili: z mojego skromnego dobytku jenieckiego zabrali mi pulower, koszulę, koszulkę ciepłą, kalesony, skarpetki i ręcznik. W domu moich opiekunów mieszkało 12 osób. Zabrano im 19 ubrań, płaszcze, bieliznę i wszystkie co wartościowsze przedmioty. Sporządzili oni później listę zrabowanych rzeczy na trzech stronach pisma i przekazali ją z zażaleniem do milicji — oczywiście bez skutku.

—Tak było w całym miasteczku, we wszystkich mieszkaniach, tak było po wsiach i w całej okolicy, gdzie tylko zdołałem dotrzeć. Już od samego początku ludność zaczęła po prostu schodzić z drogi żołnierzom sowieckim. Zdarzały się i takie wypadki, że zatrzymywali oni osoby cywilne, pytając niewinnie: "Która godzina?" Gdy naiwny cywil wyciągnął zegarek, wówczas bez ceremonii mu go zabierano.

NAJGORSZY BYŁ DLA MNIE WIDOK DZIECI . . .

—Wkrótce po przyjściu Rosjan nastały dla ludności naprawdę bardzo ciężkie chwile również z innego powodu. Mianowicie poprzednio wszystkie sklepy były w rękach Niemców lub *Volksdeutschów*, którzy co do jednego uciekli. To czego nie zabrali z sobą — zrabowali nowoprzybyli. Przez trzy tygodnie nie można było dostać dosłownie żadnych artykułów żywnościowych. Każdy musiał żyć własnym przemysłem, przy czym nikt nie miał prawie żadnych zapasów. Najgorszy był dla mnie widok dzieci. Trzeba pamiętać, że było to jeszcze zima. Dopiero po paru tygodniach zaczęto wydawać racje żywnościowe, lecz tylko dla pracujących — po dwa kg. chleba czarnego na tydzień i nic więcej. Po dalszych 2 — 3 tygodniach i te racje zredukowano do 1 kg. tygodniowo. Polacy, którzy pracowali w kopalni mówili mi, że dostawali nieregularnie z zarządu kopalni końskie mięso do domu, oraz czasem na kopalni cienką zupę kartoflaną.

—A co pan w tym czasie robił, jak się pan poruszał? — zapytałem Johna.

—Byłem na tyle przezorny, że nie zgłosiłem się od razu do sowieckich władz wojskowych. Postanowiłem poczekać, by zorientować się lepiej co mam dalej robić. Planowałem sobie poczekać do zakończenia wojny, by później przejść przez Niemcy lub Gdynię — do Anglii. Podejrzewałem — i jak się później okazało: słusznie — że Rosjanie zesłaliby całą rodzinę moich opiekunów na Sybir, jako członków Armii Krajowej i mnie z nimi pewnie także. Jak tylu innych żołnierzy A.K., których widziałem w zaplombowanych wagonach, sunących na wschód. Biedacy! Jedyny komfort, jaki im dano w tej podróży, to urządzenie do odprowadzania uryny z zaplombowanego wagonu . . .

CZARNY RYNEK

—Pytasz co ja robiłem? To samo co wszyscy. Głównym zadaniem wszystkich było poszukiwanie żywności. Ja też to robiłem. Jeździłem po całej okolicy, nawet dość daleko. Handlowałem, czym się dało — zwyczajnie: czarny rynek. Ale gdyby nie ten czarny rynek, do którego ludność już przywykła i który tak świetnie funkcjonował pod okupacją niemiecką — nikt nie mógłby wyżyć. A jak życie pod okupacją jest ciężkie, możesz sobie wyobrazić, gdy ci powiem, że 1 kg. słoniny kosztował 700 złotych, 2-kilogramowy bochenek czarnego chleba 150 — 180 zł. Skąd wziąć tyle pieniędzy, gdy ludzie na ogół nie pracują?! Naprawdę bardzo ciężkie jest życie w Polsce pod nową okupacją. To mnie właśnie skłoniło do zmiany moich planów i do wcześniejszego wyjazdu. Wobec braku żywności — nie chciałem być dłużej ciężarem dla moich opiekunów, a z drugiej strony, widząc co się dzieje, widząc i słysząc o aresztowaniach — nie chciałem ich dłużej narażać.

KARA ŚMIERCI ZA POSIADANIE BRONI I RADIA

—Mówiłem ci już — zaczął znów John po małej przerwie — jakie było pierwsze wrażenie ludności po "oswobodzeniu". Blady strach. Władzę administracyjną sprawowała właściwie początkowo milicja, podlegająca Komitetowi Lubelskiemu. O stosunku ludności do tego Komitetu powiem ci później. Teraz dodam, że dużo się słyszało o tajnej policji, o G.P.U. czy też o N.K.W.D.

—Zaraz po tych rabunkach, rewizjach i aresztowaniach ukazało się zarządzenie armii czerwonej o tej mniej więcej treści:

"Wiemy, że podczas okupacji niemieckiej mieliście broń, amunicję i radioaparaty. Należy to wszystko pod karą śmierci oddać do najbliższego dowództwa wojskowego do dnia . . ."

—Tak więc w "oswobodzonej" Polsce posiadanie prywatnych radioodbiorników zostało zakazane pod karą śmierci. We wszystkich miastach na placach zainstalowano głośniki /w Krakowie także na plantach/, używane przeważnie do propagandy pro-rosyjskiej no i przede wszystkim do wymyślania na rząd polski w Londynie, jak również do oskarżania Armii Krajowej o Powstanie Warszawskie, albo na zmianę o współpracę z faszystowskimi Niemcami. We wszystkich miejscowościach, gdzie tylko byłem, również po wsiach, widziałem wielkie plakaty, przedstawiające Stalina, Koniewa, Żukowa, głoszące, że przynoszą Polsce wolność i wyzwolenie spod tyranii faszystowskiej. Ludzie jednak poznali już smak tej wolności.

—Oto bowiem ci, którzy na wezwanie oddawania broni — oddali ją, zostali z miejsca aresztowani jako żołnierze A.K. Zaczęło się i trwało przez cały czas istne polowanie na żołnierzy A.K., którzy musieli — jak za niemieckich czasów — ukrywać się, zmieniać miejsce pobytu i t.d. Wiele o tym słyszałem, ale, aby nie być gołosłownym, powiem ci to, co wiem i co sam widziałem. Otóż jeden z krewnych moich opiekunów niespodziewanie został aresztowany i wywieziony na Sybir za to tylko, że przenocował raz jednego żołnierza A.K. "Muszisz i ty być żołnierzem A.K." — powiedziano mu i z miejsca aresztowano. Zostawił żonę i dwoje dzieci. W tym czasie, gdy ja tam jeszcze byłem, zostawiono ją w spokoju, ale obawiała się, że i ją wywiozą. Biedna, rozpaczała, że nie ma dokąd uciec . . .

POLSKA WIARA W SPRAWIEDLIWOŚĆ . . .

—W tym mniej więcej czasie Armia Krajowa została rozwiązana. Wszyscy spodziewali się, że te polowania ustaną. Złudne nadzieje — nic się nie zmieniło. W całym kraju panowało co raz większe przygnębienie. Ale równocześnie jakaś dziwna, iście polska wiara, wiara na przekór twardej rzeczywistości — że to wszystko przeminie, że to niemożliwe, aby tak miało pozostać, że przecież wbrew wszystkiemu i wbrew rozsądkowi nie stracili nadziei przez tyle lat okupacji niemieckiej . . .

—Naprawdę zadziwiająca była dla mnie ta niezachwiana wiara w sprawiedliwość powszechną, międzynarodową. Łączy się to z bezgraniczną wiarą w Wielką Brytanię i Amerykę. Tak n.p. gdy przez wszystkie głośniki, przy dźwięku fanfar ogłoszono wyniki konferencji krymskiej, że mianowicie Churchill i Roosevelt mieli zgodzić się na linię Curzona i po rozszerzeniu rządu lubelskiego mają go uznać — nikt w to nie uwierzył. Powiedzieli po prostu, że to musi być kłamstwo. W rozmowach z moimi przyjaciółmi stałem się niejednokrotnie podnieść, że ich wiara w pomoc Ameryki i Anglii jest trochę przesadzona, bo wskutek położenia geograficznego Polski oba te mocarstwa nie bardzo mogą Polsce pomóc . . . Odpowiadano mi, że to niemożliwe, aby świat mógł się na to zgodzić.

—Stosunek ludności do t.zw. rządu lubelskiego jest zupełnie wyraźny: po prostu nikt go nie uznaje. Wszyscy wiedzą, że został narzucony przez Rosję i to im wystarczy. Mówią, że nie może to być rząd prawdziwie polski, skoro tak ochoczo zgodził się na oddanie pół Polski, że przeto jest on rosyjski i że nie ma mowy, aby Polska pod takim rządem mogła być naprawdę wolna i niepodległa. Uznają tylko rząd polski w Londynie i od niego tylko spodziewają się ratunku.

ZA LINIĄ CURZONA . . .

—Istotnie mnie, jako postronnemu obserwatorowi wydaje się, że mają dużo podstaw do takiej opinii. Upoważnia ich do tego to, co dzieje się w Polsce pod okupacją sowiecką, zarówno w tak zwanej "wolnej" Polsce, jak i poza linią Curzona. Otóż za tą linią przeprowadzono, względnie przeprowadza się sowietyzację całego życia. Ziemię skonfiskowano i przydzielono chłopom małorolnym i bezrolnym. Chociaż niektórzy dostali więcej ziemi, niż mieli poprzednio, nie chcą jej brać, bo nie wierzą, że to długo potrwa, a nawet gdyby miało dłużej potrwać, nie wierzą, by ta dawana im teraz ziemia naprawdę przy nich pozostała. Po tamtej stronie także odbywały się i odbywają się nadal aresztowania i wywożenie ludzi na Sybir. Niera całymi rodzinami, przy czym podobnie jak w roku 1939 — rodziny są rozłączane, t.j. osobno zabierają dzieci, osobno matki, osobno ojców — o ile są na miejscu.

WYWOŻENIE MASZYN Z POLSKI I PRZEBUDOWA TORÓW

—W zachodniej Polsce widziałem wiele rzeczy raczej zadziwiających z każdego punktu widzenia. Widziałem n.p. wszędzie niezliczone transporty kolejowe i na samochodach, zawierające wszelkiego rodzaju maszyny i urządzenia fabryk, wywożone z Polski na wschód. Sam jestem elektrotechnikiem z zawodu, więc zainteresował mnie specjalnie transport maszyn elektrotechnicznych, złożony z kilkudziesięciu wagonów. Ludność, widząc to wszystko, nie może nabrać zaufania do "oswobodzicieli", ani do narzuconego przez nich rządu. Nawiasem mogę dodać, że choć dość długo przebywałem wśród ludności pod okupacją sowiecką, nie słyszałem o uruchomieniu jakiejkolwiek fabryki, choć za Niemców one pracowały. Mam na myśli nawet fabryki najniezbędniejszych przedmiotów codziennego użytku dla ludności. Jedynie słyszałem o uruchomieniu kilku kopalń węgla. Ale to pewnie dlatego, że kopalń nie da się przewieźć na inne miejsce . . .

—Jeszcze jeden objaw, który bardzo mierził wszystkich. Oto natychmiast po zajęciu terenów, władze okupacyjne sowieckie /wojskowe/ przystępowały do przebudowy linii kolejowych na szeroko-torowe. Wyjeżdżając z Polski — nie widziałem innych linii kolejowych prócz tych właśnie szeroko-torowych. Przypuszczam, że i w Niemczech, na terenach zajętych przez Rosjan także niezwłocznie przebudowano koleje. Bo w Polsce sięgały już poza Śląsk, dawny Śląsk polski. Nie rozumiem się na strategii, ale nie przypuszczam, aby względy wojskowe, strategiczne, bezwzględnie tego wymagały.

TRANSPORT ŻOŁNIERZY A.K. — NA SYBIR

—Długo mógłbym mówić na te tematy, ale może to byłoby nużące. Powiem jeszcze o moich ostatnich wrażeniach z Polski. Jak już wspomniałem, postanowiłem opuścić moich opiekunów, aby nie być im dłużej ciężarem pod względem wyżywienia. Udałem się w drogę piechotą, potem koleją i dojechałem do Krakowa. Słyszałem o tym, że są podobno przygotowane transporty b. jeńców brytyjskich do wyjazdu do Anglii. Chciałem się tam o tym czegoś dowiedzieć. W Krakowie przebywałem parę dni. Widziałem tam dużo żołnierzy sowieckich. Jeśli chodzi o ludność, to nastroje były takie same, jak gdzieindziej, z tym tylko dodatkiem do pognębienia nastrojów, że właśnie odbywał się pobór Polaków do wojska. Pobor zarządzony przez władze lubelskie.

—Na dworcu w Krakowie widziałem długi pociąg złożony może z 75 wagonów. Przejrzałem pociąg — przeszło 50 wagonów. Wszystkie były zapełnione ludźmi. Trochę po polsku, trochę niemiecku — zacząłem się z nimi porozumiewać. Zapytałem, czy są *Volksdeutschami*. Odpowiedzieli: "Nie! A.K.!" Wiedzieli, że jadą na Wschód, na Sybir. W każdym wagonie było co najmniej 50 ludzi. Wagony /bydlęce/ były zaplombowane, okna oplecione drutem kolczastym. Wyglądali bardzo brudno, byli przygnębieni, zrozpaczeni. Na ich widok ogarnął mnie przeogromny smutek. Taką to nagrodę otrzymali ci dzielni żołnierze za pięcioletnią walkę z Niemcami, wspólnym wrogiem ludzkości . . .

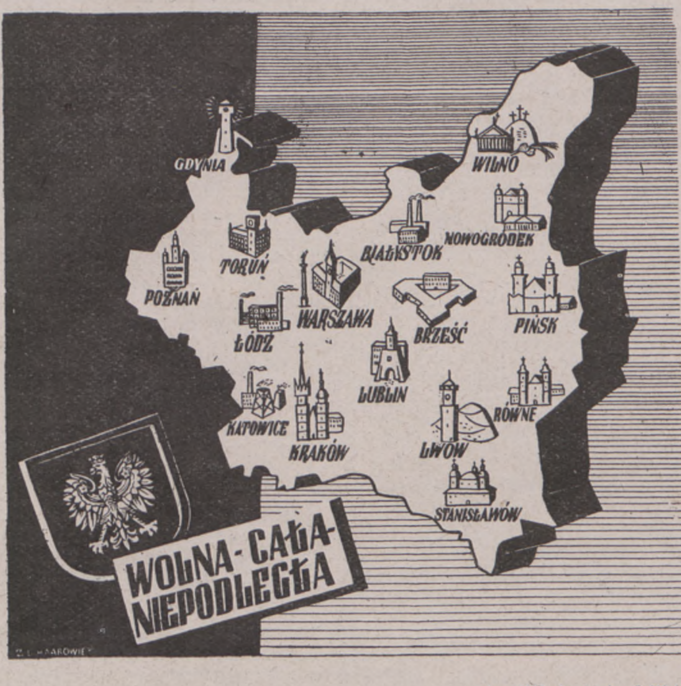
—Pewnego dnia udałem się pod koszary, gdzie, jak powiedziano, są zgrupowani jeńcy brytyjscy. Ta dzielnica nazywała się Rakowice. Ponieważ tam się kręciłem, zatrzymał mnie pewien przechodzący oficer rosyjski. Nie mówił ani po niemiecku, ani po polsku, ani oczywiście po angielsku. Rzekłem krótko: *"British"*. Kazał mi "na migi" iść za sobą. Myślałem, że "wpadłem". Wewnątrz koszar przez tłumacza niemieckiego poprzedziałem, że byłem chory, że przebywałem w jakiejś rodzinie na wsi, gdzie — to nie wiem, bo nie znam kraju i że proszę o odesłanie mnie do Anglii. To im widać wystarczyło. Wcielono mnie do grupy brytyjskiej. Byli tam też jeńcy francuscy i innych narodowości. Ale w osobnych grupach. Nie pozwalano nam wychodzić na miasto, ani komunikować się z b. jeńcami innych narodowości. Jedzenie dawano nam zupełnie dobre i papierosów wbród. Jak dowiedzieliśmy się później od innych jeńców, n.p. Francuzów — ich nie karmiono tak dobrze, ani nie dawano tak dużo papierosów. Po paru dniach wysłano nas koleją, pod eskortą wojskową, również w wagonach bydlęcych — przez Lwów do Odessy, gdzie przejęły nas brytyjskie władze wojskowe.

POLACY TO TWARDY NARÓD

—Obecnie jestem wolny, lecz nie mogę zapomnieć o warunkach życia bohaterskich Polaków. Jest mi smutno, że nie mogę im pomóc, ale wraz z nimi chcę wierzyć, że i dla nich nadejdzie sprawiedliwość. Oni przetrzymają. To twardy, niewymownie twardy naród. Szkoda tylko, że ponosi wciąż jeszcze tyle ofiar.

KAROL BOBAK

TOWARZYSZ BRONI



/z "Ochotniczki"/

Ministerstwo Przemysłu, Handlu i Żeglugi

Przed wybuchem wojny, Ministerstwo, które zamierzamy tu omówić, nazywało się krócej: Ministerstwo Przemysłu i Handlu. Jak z samej nazwy należy wnosić— kierowało ono sprawami gospodarstwa narodowego.

Podczas wojny uzupełniono jego nazwę słowem "żegluga", widocznie dla zaakcentowania doniosłości pracy Marynarki Handlowej, która temu Ministerstwu podlega. Wiecie to najlepiej z własnych doświadczeń, jak wielkie znaczenie ma w tej wojnie transport przez morza i oceany.

Ministerstwo Przemysłu, Handlu i Żeglugi w obecnej chwili planuje odbudowę życia gospodarczego Kraju po odzyskaniu niepodległości. Jest ono w kontakcie z U.N.R.R.A. celem przygotowania dostaw zaopatrzeniowych dla Kraju. Ministerstwu temu obecnie podporządkowane są też sprawy rolnictwa, komunikacji, lotnictwa cywilnego, budowlane i aprowizacyjne.

W pracach Rządu R.P. jest to jeden z czołowych resortów. Z własnych doświadczeń zdajecie sobie sprawę, że dobrze trzeba się zastanowić, żeby żołd strzelca, czy podoficera wydatkować tak, by starczyło i na kino i na papierosy, oraz na piwo w kantynie NAAFI. A cóż dopiero dzieje się, gdy gospodarka państwowa staje w obliczu konieczności wydatków na wielką skalę. Wydatków, które nie jednemu człowiekowi, lecz milionom ludzi muszą przynieść zadowolenie.

W tych trudnych i wielkich zarazem sprawach — pracuje Ministerstwo Przemysłu, Handlu i Żeglugi. Pracuje, ażeby przygotować się do zarządzania całością gospodarki w Polsce niepodległej. Dlatego też ten resort prac Rządu jest tak ważny. I należy się orientować w zakresie jego działalności.

Obecnym Ministrem Przemysłu, Handlu i Żeglugi jest p. Jan Kwapiński, który przed wojną był prezydentem miasta Łodzi.

Szkoci poza Szkocją

Prasa szkocka, zamieszczając artykuły, poświęcone ś.p. Franklinowi Delano Rooseveltowi, trzydziestemu drugiemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, nie omieszkała przy okazji podkreślić, iż w żyłach zmarłego Wielkiego Prezydenta Ameryki płynęła krew szkocka, na skutek powinowactwa ze słynną szkocką rodziną Murray. Nawiązując do pochodzenia Prezydenta Trumana, prasa szkocka również podkreśliła jego związki pochodzeniowe ze Szkocją.

Nie jest to nic dziwnego, gdyż kilkakrotnie więcej niż Szkotów w Szkocji — potomków Szkotów mieszka w Imperium Brytyjskim, w Dominiach, to jest krajach należących do Korony Angielskiej /jak Australia/, koloniach to znaczy posiadłościach angielskich /jak Uganda/ lub też w Stanach Zjednoczonych. Przywódcy niektórych klanów żyją w Australii, bądź w Kanadzie. A w Kanadzie — to nawet w wojsku są pułki szkockie.

Szkoci, żyjąc w kraju gospodarczo ubogim, mając dużą rozrodczość, oraz typową dla nich przedsiębiorczość, opuszczali Ojczyznę, aby szukać szczęścia i powodzenia wśród obcych ludów.

Znana w Polsce rodzina przemysłowców Machlejdów — jest szkockiego pochodzenia. A i poeta rosyjski Lermontow też ma w sobie krew szkocką. Ale najwięcej Szkotów z pochodzenia zamieszkuje kraje mówiące językiem angielskim.

Następcą Abrahama Lincolna, prezydenta Stanów Zjednoczonych, bojownika o zniesienie niewolnictwa, zamordowanego podczas wojny domowej — został generał Grant noszący szkockie nazwisko.

Obecny premier Kanady, Mackenzie King, i premier Nowej Zelandii, Fraser — noszą znane szkockie nazwiska. Fraser jest świeżej daty emigrantem ze starej Szkocji, o czym mówił niedawno ze wzruszeniem, gdy Edinburgh nadawał mu godność obywatela honorowego. Poprzedni premier Australii, Menzies, również jest z pochodzenia Szkotem.

Mały, biedny chłopiec, nazwiskiem Carneggie opuścił był swego czasu Dunfermline, stare miasto w Fifeshire, udając się do Ameryki, na poszukiwanie szczęścia. Został wielkim bogaczem, milionerem. Carneggie, filantrop i opiekun badań naukowych — troskliwie odtąd pamięta o swym mieście rodzinnym, dopomagając mu wydatnie do rozwoju.

Bo ze Szkotem jest tak: gdziekolwiek się znajdzie, zawsze żywić będzie miłość do kraju, z którego ród jego się wywodzi. I to nawet wtedy, gdy z kraju tego wyszli jego odlegli przodkowie, daleko, za oceanami, budując sobie ciężkim wysiłkiem lepsze i pomyślniejsze życie.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni' winien docierać do wszystkich.

Zwycięstwa Marynarki Wojennej R.P.

Szeroka, ugruntowana i dobrze zasłużona sława towarzyszy Okrętom Rzeczypospolitej Polskiej, walczącym na morzach świata o wolność własnej Ojczyzny.

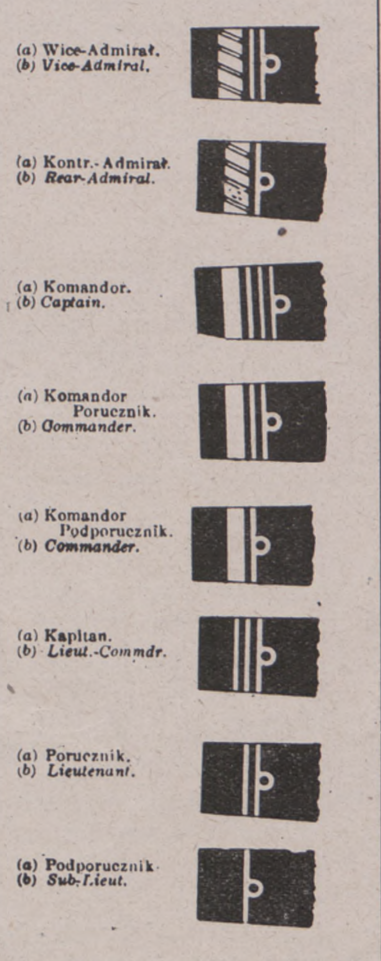
Los zdarzył, że śp. komandor-podporucznik Grudziński, dowódca nieśmiertelnego okrętu podwodnego "Orzeł" otrzymał pierwsze w tej wojnie wysokie odznaczenie Virtuti Militari. Marynarze zaś załogi "Orła" — pierwsze Krzyże Walecznych. Ten fakt jest niewątpliwie charakterystyczny, i świadczy o osiągnięciach bojowych Marynarki Wojennej R.P.

Marynarka Wojenna jest wszędzie. We wrześniu 1939 roku—jak wiecie—z największym poświęceniem walczy na wodach Zatoki Gdańskiej. Znaczna jej część udaje się do baz brytyjskiego sojusznika. Ramię przy ramieniu, burta o burtę z jednostkami bojowymi *Royal Navy*—rozpoczyna nową, sześcioletnią kartę trudów, sukcesów, zwycięstw nad wrogiem w morskich rozprawach.

Dane cyfrowe mówią najlepiej o olbrzymim wysiłku w służbie wolności, na jaki zdobyła się młoda marynarka wojenna R.P.

Działając poza bazami ojczystymi, od jesieni 1939 roku, do końca lipca 1944 roku przeprowadziła ona — 700 eskort konwojów, 1250 patrole bojowe. Miała: 40 spotkań z nieprzyjacielskimi okrętami nawodnymi, 175 spotkań z nieprzyjacielskimi okrętami podwodnymi, 400 walk z lotnictwem, 96 walk z bateriami brzegowymi. Zestrzeliła: przeszło 50 samolotów nieprzyjacielskich. W roku 1942 jeden z polskich kontrtorpedowców, mianowicie ORP "Ślązak" był na pierwszym miejscu co do liczby zestrzelonych samolotów wroga, na równi z brytyjskimi kontrtorpedowcami.

Marynarka Wojenna R.P. uczestniczyła we wszystkich większych działaniach morskich drugiej wojny światowej.



Stopnie oficerskie w Marynarce R.P.

Była więc w bitwie pod Narvikiem w Norwegii. Była podczas działań ewakuacyjnych u brzegów Dunkierki i Calais. Wsławiła się również w akcji na wodach Kanału La Manche. Na Atlantyku i na Morzu Północnym. Ma w swoim zapisie wypad na Lofoty i konwoje zaopatrzeniowe dla Malty. Przyczynia się do zatopienia "Bismarcka". Bierze udział w konwojach, wspierających wysiłek wojenny Związku Sowieckiego. Uczestniczy w wypadzie pod Dieppe. Gdy nadchodzi wyczekiwany czas wielkich lądowań w Afryce Północnej, na Sycylii i we Włoszech, w Normandii i Francji południowej —wszędzie niestrudzenie powiewa bandera Marynarki Wojennej R.P.

Od Murmańska i Archangielska, sowieckich portów na północy, po Afrykę Zachodnią i Wyspy Wniebowstąpienia na południu. Od obu Ameryk na zachodzie, ku morzu Adriatyckiemu, Egejskiemu i Dardanelom na wschodzie.

Polskie okręty w okresie wymienionym zatopiły: 3 albo 4 kontrtorpedowce. Krążownik pomocniczy. 9 okrętów podwodnych. 10 poławiaczy min. 4 patrolowce. 41 transportowców, 8 barek desantowych. 6 ścigaczy.

Ponadto, prawdopodobnie zatopiły, względnie ciężko uszkodziły: pancernik, 2 kontrtorpedówce, 2 ścigacze, 2 patrolowce, kilka okrętów podwodnych, i 8 transportowców.

Oto jest plon bojowy naszej Marynarki Wojennej w suchym zestawieniu cyfrowym. Plon ten jest pokaźny. I tym bardziej godny uznania, gdy uświadomimy sobie krótkotrwałość istnienia, oraz stan liczebny jej jednostek bojowych

Brytyjski wysiłek wojenny

Ostatnio ogłoszono cyfry, obrazujące rozmiary brytyjskiego wysiłku wojennego, który umożliwił zwycięstwo w Europie.

Straty łączne Brytyjskiej Wspólnoty Narodów wraz z Imperium Brytyjskim do obecnej chwili wynoszą w ludziach 1.126.800 w tym 307.201 zabitych. Cyfry te obejmują również straty w wojnie z Japonią.

Dodać do tego jeszcze należy straty w marynarce handlowej, w której straciło w tej wojnie życie ponad 30.000 marynarzy. Straty wśród ludności cywilnej wyniosły: w zabitych około 60.000 i 85.000 rannych.

Do września ubiegłego roku w Wielkiej Brytanii zostało zniszczonych lub uszkodzonych 4 i pół miliona budynków. Po wrześniu 1944 roku wiele tysięcy budynków zostało jeszcze zniszczonych przez latające bomby i pociski rakietowe.

Przemysł wojenny Wielkiej Brytanii wyprodukował około 70% uzbrojenia dla armii Brytyjskiej Wspólnoty Narodów i Imperium Brytyjskiego.

Jedna trzecia zaopatrzenia dla armii amerykańskich w Europie dostarczona została w okresie od czerwca 1942 do czerwca 1944 roku. Tysiące statków sojuszniczych zwolnionych było przez to do innych celów.

Poza zaopatrywaniem wojsk własnych i amerykańskich, Wielka Brytania dostarczyła Rosji Sowieckiej między innymi: 7.000 samolotów myśliwskich i ponad 5.000 czołgów. Do czerwca 1944 roku wartość materiałów dostarczonych Rosji Sowieckiej przez Wielką Brytanię wyrażała się sumą 270 milionów funtów szterlingów.

Z tonażu 17 i pół miliona ton statków handlowych, który Wielka Brytania posiadała w roku 1939 — straciła ona do końca 1943 roku jedenaście i pół miliona ton.

Z miejsc postoju

Dnia 26 maja 1945 roku w rzymsko-katolickiej Katedrze pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny przy Broughton Street w Edinburghu odbyła się podniosła uroczystość.

Ks. Dr. Józef MacDonald, Arcybiskup St. Andrews i Edinburgha, pierwszy Arcypasterz katolickiej Szkocji, udzielił w dniu tym w obecności władz wojskowych, oraz duchowieństwa polskiego i szkockiego — święceń kapłańskich gronu kleryków polskich, będących w czynnej służbie wojskowej, a którzy w Szkocji właśnie uzupełnili swoje dotychczasowe studia teologiczne. Akt udzielenia święceń kapłańskich podkreśla wyjątkowo węzły przyjaźni między obu narodami, ale nie tylko — jest też dowodem pełnego zrozumienia katolików szkockich dla potrzeb katolicyzmu w Polsce.

Dnia 29 maja 1945 roku w miejscu postoju obozu Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, odbyło się zakończenie kursu dla świetliczarek. Absolwentki, w części nieoficjalnej zakończenia kursu — urządziły rewię, wystawiając między innymi kukiełki w strojach wileńskich.

Dnia 2 czerwca 1945 roku, w jednym z miast szkockich zakończony został kurs informacyjny dla oficerów opieki, w obecności przedstawicieli Ministerstwa Obrony Narodowej, oraz Dowództwa jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii.

W czasie odbywającego się *the General Assembly of the Church of Scotland*, odbyła się w dniu 28 maja 1945 roku dłuższa debata, poświęcona sprawom polskim. Zagadnienie poruszali trzej księża Kościoła Szkockiego: J. Pitt Watson, Dr. F. D. Langlands, oraz Dr. A. King.

Ks. Dr. F. D. Langlands z Galashiels zgłosił specjalny wniosek poświęcony sprawie polskiej. Między innymi, we wniosku jest powiedziane: " . . . należy zażądać, aby Rząd Jego Królewskiej Mości zwrócił się do Rządu Rosyjskiego o zezwolenie na wjazd do Polski przedstawicielom Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, oraz upoważnionym korespondentom prasy, jak również zażądać przywrócenia łączności pocztowej dla osób narodowości polskiej, obecnie przebywających poza Krajem, któreby zechciały korespondować ze swymi krewnymi w Polsce".

Ks. Dr. A. King — podkreślał w swym przemówieniu, że "jest niewątpliwie dziwne, że można było z Polską korespondować, gdy znajdowała się pod okupacją niemiecką, a nie można tego czynić, kiedy Polskę zajmują wojska rosyjskie".

Wniosek ks. dr. Langlands uzyskał 100 głosów przeciwko 88.

Przedstawiciel ewangelików polskich ks. Norman Goreń przemawiał podczas obrad *the General Assembly of the Free Church of Scotland*, odbywającego się również w Edinburghu i powiedział między innymi: "Opatrzność obdarzyła Wielką Brytanię doniosłym posłannictwem. Wy jesteście powołani dla dodania otuchy i przyniesienia wolności niewolnikom. Polska wypatruje pomocy z Wielkiej Brytanii i ze Stanów Zjednoczonych. Naród nasz nie jest jeszcze wolny. Nasi żołnierze, marynarze i lotnicy, którzy walczyli tak dzielnie na wszystkich frontach, nasi inwalidzi — chcą wrócić do domu, do prawdziwie wolnej i niepodległej Polski".

4 Dywizja Piechoty, przebywającą w Szkocji, pragnąc jak najwydatniej pomóc rodakom naszym, znajdującym się na terenach niemieckich, przekazała do dnia 15 maja 1945 roku sumę: 3,344 funty, 19 szylingów oraz 9 i pół pensa. Ponadto wpłynęły liczne dary w naturze, oraz zadeklarowano część gaż i żołdów na przyszłość.

POMÓŻ POLAKOM W NIEMCZECH

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Załączam P.O. na sh. 2/6 ofiarowane na "Polish Children Rescue Fund" przez Mrs. Miller z Glasgowa.

Z.S.

NA P.C.K.

W załączeniu przesyłam Money Order FN 73675 na sumę £7.2.9 /słownie: funtów siedem, shillingów dwa i dziewięć pensów/ tytułem składek zebranych na P.C.K. na wystawie fotograficznej "Through Polish Eyes" w York w maju r.b.

Wystawę w York zwiedziło około 3000 osób. Było to 35-te miejsce, które gościło wystawę.

Paweł Miller

W dniu 1 maja b.r. Polska YMCA w Wielkiej Brytanii uruchomiła na terenie Szkocji Dom Wypoczynkowy dla uzdrowieńców i urlopowanych żołnierzy. Dom ten znajduje się w miejscowości Bonskeid, cztery mile na północ od Pitlochry. Jest to jeden z najpiękniejszych zakątków Szkocji, położony w sercu High Land'u, nad rzeką Tummel.

Dom mogący pomieścić 63-ech żołnierzy, wyposażony jest w piękne pokoje klubowe, czytelnie, pokoje bilardowe, kort tenisowy. Ponadto goście Domu mogą korzystać z rybołóstwa. Kuchnia polska. Posiłki obfite i smaczne, podawane 3 razy dziennie. Opłata dzienna za pobyt żołnierzy posiadających kartę zaopatrzenia, wynosi od 6 d. /strzelec/ do 2/6 /chorąży/.

Zamawianie miejsc telefonicznie lub pisemnie bezpośrednio do Domu Wypoczynkowego: Polish YMCA Convalescent Home, Bonskeid House, near Pitlochry. Tel. Killiecrankie 8.

Dojazd koleją lub autobusami do stacji Pitlochry, skąd autobusami w godzinach: 11,50, 16,50, 21,50 /ten ostatni tylko w soboty/ za opłatą 9 d. od osoby, lub taksówką firmy Watson — Pitlochry/ tylko w dni powszednie /za opłatą 10/ za 4 — 5 osób.

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £414

W załączeniu przesyłam czek na £2 na pomoc Polakom w Niemczech.

Rotmistrz H.C.

* * *

W dniu dzisiejszym przesłałem na pomoc uwolnionych Polaków z obozów koncentracyjnych niemieckich. £15.13.9 /piętnaście funtów, trzynaście szylingów, dziewięć pensów/.

Cz.R. ppor.

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £11 sh. 4 d. 11 stanowiącą dochód z zabawy urządzonej w świetlicy w Szkole Pilotażu Podstawowego i proszę uprzejmie o przekazanie tych pieniędzy do Komitetu Pomocy Polakom w Niemczech.

Świetliczarka J.N.

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na £13.10.9 zebrane drogą dobrowolnych składek przez szereg. 2-giej Komp. Wart. z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Niemczech.

D-ca Komp. Kpt. A.S.

* * *

Załączam przekaz na sumę £4 na pomoc Polakom uwolnionych z obozów niemieckich. W tym jeden funt od st. strzelca A.M. dany do mojej dyspozycji.

Maria Szyndlerowa

* * *

Przesyłamy M.O. na sumę £21.15.0 /dwadzieścia jeden funtów, piętnaście szylingów/ złożoną przez pacjentów Szpitala im. Paderewskiego w Edinburgh na pomoc Polakom w Niemczech.

Za komitet zbiórki: *Por. B.M.*

* * *

W załączeniu przesyłam czek na sumę £3 /trzy funty/ z przeznaczonych pieniędzy na urlop na pomoc Polakom w Niemczech.

Zdz. J. por.-pil.

* * *

W załączeniu przesyłam P.O. na £1, który proszę przyjąć z przeznaczeniem dla dzieci polskich uwolnionych z obozów niemieckich.

Zofia Połynowa

* * *

Na Polaków uwolnionych z obozów niemieckich £1 przeznacza.

Chor. E.K.

* * *

Niniejszym przesyłam £3 dla naszych braci uwolnionych z obozów niemieckich. *M. Płoszajska*

* * *

W załączeniu przesyłam British Postal Order na £4 /cztery funty/ uzyskane z loterii /lalka — góral/ rozsprzedanej na zabawie żołnierzy spadochronowych w Elie.

Maria Wysocka

* * *

Uczestnicy kursu dla kierowników pracy harcerskiej w Siłach Zbrojnych przekazują tą drogą sumę £9 /dziewięć funtów/ na pomoc Młodzieży Polskiej w Niemczech.

Sekretarz Komitetu Naczelnego ZHP.

* * *

Przesyłam w załączeniu £2 sh.10 na pomoc Polakom w Niemczech, którą złożyli w dniu moich imienin marynarze Obozu P.M.S.K.

Komendantka Obozu P.M.S.K.

* * *

Zgodnie ze złożoną przez nas deklaracją opodatkowania się na rzecz ludności polskiej uwolnionej z obozów niemieckich, ogłoszonej w tygodniku "Polska Walcząca" z dn. 19 maja r.b., przesyłamy kwotę £2 /dwa funty/, jako raty za miesiąc czerwiec i lipiec b.r. Plut. B.K. £1, st. strz. S.K. 10/-, strz. J.A. sz. 10. *Plut. B.K.*

* * *

W dniu 27-go maja odbyło się uroczyste poświęcenie obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej ofiarowanego jako votum kościołowi w Peebles, przez miejscowych Polaków. Obraz został zakupiony od malarza Kryzki po cenie niższej, z tym że pewna kwota zostanie przeznaczona na Polaków w obozach w Niemczech. W czasie uroczystości przyjaciel Polski ks. proboszcz J. Harold zapowiedział zbiórkę na ten cel i przekazał zebraną kwotę "Ośrodkowi Polskiemu". Uzbieraną sumę £20.2.6 /dwadzieścia funtów, dwa szylingi i sześć pensów/ przekazuję.

Dear Sir,

The enclosed sum of £20.2.6 for the "Polish Men and Women freed from German Camps" Fund was collected in the Roman Catholic Parish Church in Peebles on the 27th of May, the day of the consecration of the holy image of Our Lady of Częstochowa presented by Poles in Peebles.

This collection has been kindly offered by our true friend Rev. Father J. Harold for the above-mentioned purpose.

Zofia Bem, Treasurer

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £20 /słownie: dwadzieścia f. szterl./ na cel pomocy b. jeńcom w obozach niemieckich. Suma ta została zebrana na zabawie urządzonej w m. Capel-le-Ferne, przez Komitet Lokalny pod przewodnictwem PP. Mr. Barry, Gardiner, Adams. */—/ B. ppor.*

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £133.16.11 /słownie: sto trzydzieści trzy funty, szesnaście szylingów i jedenaście pensów/, przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £414.4.8 /słownie: czterysta czternaście funtów, cztery szylingi i osiem pensów/.

POSZUKIWANIE

BOLESŁAW KRYŃSKI poszukuje rodziny, pozostałej w Polsce /dwóch synów i dwie córki/. Wszelkie informacje proszę przesłać do redakcji "Polski Walczącej".

Rotmistrz H. Cieśliński poszukuje: 1/ WISZ MARIANA, ojciec porucznika Jerzego Wisza był w Palestynie /Nablus Road 8/, podobno wywieziony do Turcji. 2/ Plut. pchor. RYBICKIEGO ZYGMUNTA /był w Hiszpanii jako Olaf Dworakowski/.

Związek Dziennikarzy R.P. poszukuje p. HIERONIMA EDWARDA GRUSZCZYŃSKIEGO, dziennikarza z Brześcia n/Bugiem, aresztowanego przez Sowiety oraz Dr. ALFREDA LENIEWSKIEGO sędziego Sądu Apelacyjnego i wykładowcy uniwersytetu ze Lwowa. Ostatnie znane miejsce pobytu Kijów.

Wiadomości prosimy kierować pod adresem sekretariatu Związku Dziennikarzy R.P., 38, Wilton Crescent, S.W.1.

JÓZEF SOLECKI gajowy Lasów Państw. Nadleśn. Drohobycz — poszukuje syna Stanisława ur. 8.V.1922 r., przebywającego w niewoli niemieckiej Stalag X — A Nr. 10452 oraz krewnych i znajomych. Wiadomości proszę nadsyłać na adres: 103, Albert Street, London, N.W.1.

Major KONRAD STĘPIEŃ
Dowódca . . . Batalionu Strzelców Flandryjskich

Kawaler "Orderu Virtuti Military", 4-rokrotnie odznaczony "Krzyżem Walecznych" oraz "Croix de Guerre" zginął śmiercią tragiczną w dniu 16 maja 1945 na ziemi niemieckiej. Pochowany w m. Breda w Holandii

Cześć jego pamięci!

Dowódca, Oficerowie i Szeregowi . . . Batalionu Strzelców Flandryjskich

---

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT . . .

GDY JENIEC WRACA DO ŻONY



—Czy ci w Stalagu też tak dobrze było? . .

—Podobnie! Też nie mogłem się uwolnić . . .

NOWA PLACÓWKA

—Pan słyszał, że jedna grupa Polaków ma otworzyć w Londynie biuro podróży do Polski na wzór Cooka?

—Co pan mówi! Jak to biuro będzie się nazywało?

—Cook-insyn! . . .

NOWE STOPNIE

Wyjazd medyków polskich z Edinburgha do obozów w Niemczech nie doszedł do skutku. Medycy na czas wyjazdu, otrzymali nawet stopnie podporuczników. Złośliwi mówią, że stworzono nowe stopnie — Podporuczników czasu wyjazdu . . .

W CZASIE KAPITULACII



—Czy kolega widział? Ten Anglik nie podał ręki naszemu marszałkowi! . . .

—To już jest taki zwyczaj w Anglii. — Mówi się tylko do przyjaciół: How do you do? . . .

STACJA "VICTORIA"

Mówią, że w związku z przeniesienien "Rubensa" na przedmieścia Londynu, Polacy zamiast przybliżyć się do "Victorii" — oddalają się od niej . . .

ROZMOWA W LONDYNIE

—Tyle mam kłopotu z mieszkaniem. Już od miesiąca szukam jakiegoś pokoju i nie mogę znaleść!

—A gdzie pan poprzednio mieszkał?

—Niech pan nie udaje, że pan nie wie! Przecież razem spaliśmy w kolejce . . .

GDY WIOSNA ROZBIERA! . . .



Żołnierz do Pestki: — Moja droga! Nikt nas nie widzi — ja ciebie zdemobilizuję! . .

W CZASIE ŚNIADANIA W KASYNIE



—Dziwny jest ten język angielski! Butter się pisze — wymiawia się batter a je się margarynę! . . .

ZMIENIONY CYTAT Z WYSPIAŃSKIEGO

—Co tam panie w polityce?

—Dziękuję — Chińczycy trzymają się w Burmie!

WYPOWIEDZI ANGLIKA

—Niech mi pan wierzy, że nasza sytuacja na Atlantyku jest w tej chwili katastrofalna. Gdyby Japończycy zaatakowali naszą wyspę — to W. Brytanię broniłyby tylko niemieckie okręty podwodne . . .

Tekst i rysunki: TONY

Pen Club Polski
urządza
we wtorek 12 czerwca o godz. 6,15 wiecz. w "Ognisku Polskim", 45, Belgrave Square, S.W.1.

WIECZÓR AUTORSKI
MARII KUNCEWICZOWEJ
p.t.
"Dwie Warszawy"
przy współudziale
MILI KAMIŃSKIEJ

Dochód na pomoc Polakom w Niemczech. Wstęp 3/- /dla szeregowych w mundurach 1/-/

SPIS RZECZY:

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.